HRABINA SYLWJA.

Sztuka w 3-ch aktach

PRZEZ

ALFREDA KONARA.

WARSZAWA.

NAKŁADEM ANTONIEGO LESMANA.

1885.

HRABINA SYLWJA.

HRABINA SYLWJA.

Sztuka w 3-ch aktach

PRZEZ

Alfreda Konara.

[Kinderfreund Al.]

WARSZAWA.

Nakładem Antoniego Lesmana

1885.

Дозволено Цензурою
Варшава, 6 Мая 1885 года.

DRUK IG. ZAWISZEWSKIEGO, NOWY ŚWIAT 16.

OSOBY.

Baron Rohde.
Sylwja jego córka.
Hr. Henryk Krasnohorski jej mąż.
Alfred jego kuzyn.
Pani Różycka
Julja.
Michalina.
Hr. August.
Bujnicki.
Prezes.
Prezesowa.
Józefa ich córka.
Doktór.
Urzędnik policyi.
Kamerdyner w domu Henryka.
Lokaj.

Służba, goście weselni.

Rzecz dzieje się za naszych czasów.

Akt 1szy w mieszkaniu barona; akt 2-gi w mieszkaniu Henryka, akt 3-ci u wód w Lubnie. Pomiędzy aktem 1-ym i 2-im upływa $1^1/_2$ roku pomiędzy 2-im i 3-im jeden tydzień.

Akt pierwszy.

SCENA I.

Mieszkanie barona, salon rzęsiście oświetlony; goście ugrupowani, wchodzi orszak ślubny. W głębi drzwi wchodowe, z lewej od widzów drzwi do gabinetu i do jadalni, z prawej do innych pokoi.

Baron, Sylwja, Henryk, Prezes, Prezesowa, Józefa, Julja, Hr. August, Alfred, goście.

BARON.

Chodź w moje objęcia córko i ty mój zięciu, bądźcie szczęśliwi i osłodźcie mi moje ostatnie lata. Bóg może ziści moje prośby, o nic bowiem, tylko o twoje szczęście Go prosiłem. Nie wiem, droga córko, czyś czuła to moje zaparcie się, to moje przywiązanie bez granic dla ciebie, czułością bowiem i pieszczotami może nie okazywałem tego, com czuł w sercu, to zresztą matka tylko potrafi. Biedna! zapewne w niebie cieszy się twojem szczęściem, a może i mnie błogosławi za moją miłość dla sieroty. Uczyń ją szczęśliwą Henryku, a może zdołam zapomnieć o zniewadze, którą mi ojciec twój sprawił swoją nieobecnością. Jedynie chęć niestawiania przeszkód szczęściu mojej córki, skłoniła mnie do błogosławienia związku z człowiekiem, którego rodzina nie życzy sobie poznać wybranej.

HENRYK.

Panie, córka pańska będzie szczęśliwą.

BARON (*do Julii*).

Czyż nie z godnością odegrałem swoją ojcowską rolę?

JULJA.

Jesteś pan uniwersalnym.

BARON.

W każdym razie, szczęście, iż to akt ostatni.

JULJA.

Przyznasz pan jednak, że aktów było niewiele i że wogóle w roli swej nie zbyt się natrudziłeś.

BARON.

A prolog? *(Julia uderza go wachlarzem)*.

PREZESOWA (*wchodzi*).

Przyjmij i moje życzenia kochana Sylwjo, jesteś szczęśliwą, wychodzisz za mąż z miłości, chłopca dostajesz cudownego, zjadłabym go *(do Hr. Augusta)*. Nie cierpię jej fochów, młoda a zimna jak glizda. Ja w jej wieku!... Jak ci się hrabio podoba moja dzisiejsza tualeta?

Hr. AUGUST.

Prześliczna, tylko za mało stanika i za mało czoła.

PREZESOWA.

Jesteś pan impertynentem!

JÓZIA (*z przestrogą*).

Mamo, mamo!

Hr. AUGUST (*do Sylwii*).

Winszować Ci pani, est plus fort, que moi. Jakżeś piękną w tej ślubnej szacie! mojej obecności nawet nie spostrzegłaś, kochasz innego, należysz do innego ale cóż zrobić, kiedy ja cię zawsze uwielbiam.

SYLWJA.

Myślałam, że, przestawszy być panną Rohde, nie usłyszę więcej pańskich szarmanckich oświadczeń. Je-

stem dziś jednakże tak niewypowiedzianie szczęśliwą, że nie potrafię się gniewać. Jesteś śmiesznym panie Hrabio.

PREZES.

Pozwólcie, że w dniu tym tyle uroczystym, pozwolę sobie krótkiemi słowy wyrazić uczucia, które przepełniają moją duszę na widok tej pary oblubieńców. Dawnymi czasy...

JULJA.

Zaczyna od Adama i od Ewy.

PREZES.

....zdobywano ukochaną dziewicę siłą, bojem, który to zwyczaj pozostał u ludów... Afryki. Nastąpiły owe piękne, pełne rycerskości wieki średnie, kiedy młodzieniec z różą od ukochanej na piersi, niby z amuletem szczęścia, z narażeniem życia pośród gromów ognia i krwawych bojów oczekiwał wymarzonej chwili. Czyż jednak dzisiaj nie jest bardziej rozczulającem...

ALFRED.

I wygodniejszem.

PREZES.

...gdy czysta dziewica w białej swojej szacie z obcym prawie człowiekiem dobrowolnie, ze wspaniałą rezygnacyą hm. hm. hm.

SCENA II.

Ciż, Michalina, Bujnicki.

MICHALINA.

Witajcie!

WSZYSCY.

Czemuż tak późno?

JULJA.

Pani Michalina spóźnia się zwykle dla efektu.

PREZES.

....z obcym prawie człowiekiem dobrowolnie ze wspaniałą rezygnacyą...

MICHALINA (*wskazuje na Bujnickiego*).

To z winy tego mądrego pana. Obiecał mi karetę na godzinę 7-ą, a przysłał o godzinie 8-ej

BUJNICKI.

Upewniam panią, że to jedynie wina mego służącego.

MICHALINA.

Służącego? Tłomaczy się, jak gimnazista.

PREZES.

....lub przez straszny, bo moralny ucisk matek lub ciotek, wchodzi do małżeńskiej sypialni....

MICHALINA.

Czego ten chce?

BARON.

Prezes ma mowę.

PREZES.

Dawnymi czasy zdobywano ukochaną dziewicę siłą, bojem.

JULJA.

Zaczyna od początku.

PREZES.

Ludy Afryki... pełne rycerskości hm. hm. zdobywały ukochaną dziewicę siłą, bojem.

BUJNICKI.

Mój służący...

MICHALINA.

Służący pański przyniósł mi bukiet.

PREZES.

Czyż nie jest jednak bardziej rozczulającem, gdy czysta dziewica z nieznanym prawie człowiekiem...

ALFRED.

Wchodzi do małżeńskiej sypialni

PREZES (*żali się przed jednym z gości.*)

PREZESOWA (*to Barona*).

Ten stary niedołęga plecie głupstwa, a ja umieram z głodu; baronie udaj że nie słyszysz i zapraszaj nas do stołu (*baron odchodzi do jadalni*).

MICHALINA (*do Bujnickiego*).

Oddałam go mojej pokojówce. Zanadto było w nim... liści, a nie gramy z sobą w zielone; prawda, że kamelje są teraz zbyt drogie!

PREZES.

Państwo przerwaliście mi nić moich myśli.

JULJA.

Słowa pańskie, jak drogie perły, wcale nie tracą na wartości chociaż sznurek ich przerwany.

PREZESOWA.

Niech sobie zatrzyma swoje perły, a na sznurku może się powiesić

PREZES.

Pani dobrodziejka rzeczywiście zbyt łaskawa.

BARON (*wchodząc*).

Proszę państwa na przekąskę.

(*lokaje drzwi otwierają*).

Wszyscy zwolna wychodzą, prezes podaje rękę Julii.

MICHALINA (odchodząc z Bujnickim).

W takim razie wygodniej żyć w przyjaźni z pańskim służącym.

PREZESOWA.

Józiu uważałaś, jak ten młody człowiek *(ukazując na Alfreda)* przez cały czas w kościele oka ze mnie nie spuszczał.

JÓZIA.

Z mamy? W Imię Ojca i Syna!

PREZESOWA.

Głupia jesteś *(wychodzą)*.

SCENA III.

August, Alfred.

ALFRED.

Daruję im przekąskę, jestem po dobrem śniadaniu.

AUGUST.

Ja także.

ALFRED. (*Zapala cygaro*).

No, Henio ładnie wpadł.

AUGUST.

Sylwja jest piękną.

ALFRED.

Piękna, piękna. Najpiękniejszéj ofiarowałbym kolacye, złoto, brylanty, ale nie rękę. Baroniunio ładny tatuś, co będzie z tą jego sprawą o tę 14-to letnią dziewczynę?

AUGUST.

Wymknie się, jak zawsze. Nie pierwsza to i nie ostatnia jego sprawka.

ALFRED.

Z czegoż młoda para żyć będzie? Henio majątek po matce stracił, ojciec oddawna zrujnowany. Księżna za ten związek go wydziedzicza.

AUGUST.

Sylwja ma milion po matce.

ALFRED.

Rubli?.....

AUGUST.

Nie, złotych.

ALFRED.

Bagatela, po spłaceniu długów Henia, starczy zaledwie na miodowe miesiące; jak można, nie zastanowiwszy się, tak głupio się zakochać? w jego wieku! nigdybym do kobiety tak zapalić się nie potrafił.

AUGUST.

W twoim wieku? to cię szczerze żałuję.

ALFRED.

Niepotrzebnie. Ja sam nie rozpaczam. Mam lat 23, a jestem znudzony i zblazowany jak starzec. I gdybym nie czuł że jestem u schyłku tylko pierwszej mej młodości, gdybym nie wiedział, że jeszcze odżyję, jutrobym sobie w łeb palnął.

AUGUST.

Jakto odżyjesz? w pozagrobowem życiu?

ALFRED.

Fi! Widzisz, człowiek szaleje, hula, kocha do lat 60. Na to jedna młodość niewystarcza Natura daje więc nam

ich kilka. Pierwsza najburzliwsza trwa od roku 15 do 24. Jestem więc już u jej schyłku, jestem starcem. W tej fazie, jeszcze przed dojściem do pełnoletności traci się cały majątek matki i trochę ojca i kocha się stopniowo, począwszy od ubogich przyjaciółek lat dziecięcych i subretek aż do kobiet 40 to letnich balzakowskich. W tej fazie poświęcamy kobietom tylko trochę zdrowia i pieniędzy, skończywszy kiedy dobrze idzie na kobiecie 50 letniej—umieramy, Następuje kilko-letnia wegetacya. Podróżujemy, czytamy, zwiedzamy muzea, lub spędzamy dni na łonie rodziny u gwarliwych ciotek i brzydkich kuzynek, kupujemy ich dzieciom zabawki, prowadzimy je do teatru. O godzinie 11-ej kładziemy się spać; ta wegetacya trwa do 32 roku życia. Tu zjawia się idealna i piękna dziewica 20-to letnia, która swoją świętą niewinnością, a zarazem taktem, wykształceniem, muzyką i śpiewem oczarowywa nas. Tu robimy największe głupstwo w życiu,— żenimy się. Następują miodowe miesięce, żonka w różowym negliżu, ślicznemi paluszkami nalewa herbatę, wieczorami wygrywa ci nokturny Szopena, wkrótce złotowłose aniołki zaczynają igrać u twoich kolan. Jednem słowem: raj, niebo. Następnie, następnie żona więdnie, chłopcy się nie chcą uczyć, panny chcą, ale nie mogą się wydać za mąż Wszystko to z twojej winy; żona gderze, panny krzyczą, robią z ciebie kozła i barana. Ty—nic. Gdzie twoja dawna buta, ogień, charakter?—umarły - nie żyjesz—wegetujesz. W 50-tym roku życia zmartwychwstajesz, zaczynasz chodzić na balet, patrzysz nie na prima balleriny, znasz je jeszcze z kawalerskich czasów; lecz z pośród corps de ballet wyszukujesz 14-to letnie pączki, delicyje. Nareszcie przychodzi reumatyzm, artretyzm, no. i... prawdziwa śmierć.

AUGUST.

A wiesz co?— masz ideje.

ALFRED.

Mój kochany, kosztowały mię one 24 lat życia i 200,000 rs., nie licząc długów. Ale tam słyszę wesoło

się bawią, chodźmy. Cóż chcesz, przyjemny to musi być dom.

AUGUST.

Przyjemny, ale w takich domach lubię bywać bez fraka i rękawiczek. Chodźmy emablować damy.

ALFRED.

Emablować jeszcze nie umiem, potrafię—tylko całować.

AUGUST.

Próbuj! piękna Julja ma ogromny wachlarz, prezesową całuje się za pierwszą lepszą firanką... (*wychodzą).*

SCENA IV.

Henryk, Sylwja.

SYLWJA.

O miłości twej nie wątpię Henryku, ale mów że mię kochasz, bo w tem słowie moje życie, moje szczęście, wszystko... czy będziesz moim wiecznie?

HENRYK.

Wiecznie, wiecznie!

SYLWJA.

Bo, widzisz, w sercu mem, prócz ciebie niema nikogo. Tyś mnie przekonał, że moje przyjaciółki nie warte mej przyjaźni, ojciec mój, o Boże, nie wart mego szacunku, biednej mojej matki nie pamiętam. Drżę na samą myśl, na brzegu jakiej przepaści stałam dotychczas. Nieświadomość moja, niedoświadczenie, jakby opaska zakrywały mi oczy i rozum... Wtedy poznałam ciebie. Jak matka, uczyłeś mię tajników życia, wiem już, co dobre, a co złe, co szlachetne a co plugawe. Jam twojem dziełem, zobaczysz, godnem swego mistrza, wprowadzisz mię

w twój lepszy świat, a tam chcę lśnić dla ciebie, boś ty mi wszystkiem. Kocham cię, boś ty mój ojciec i opiekun; kocham cię, boś wielki, szlachetny; kocham cię boś piękny. ręka twoja mię pali, spojrzenie odurza.

HENRYK.

Droga Sylwjo!

SYLWJA

Powiedz mi luby, czy szczęście takie może trwać wiecznie?

HENRYK.

Wiecznie, wiecznie!

SYLWJA.

Dla miłości twej chciałabym cierpieć, poświęcać się. Ojca twego przebłagam na kolanach, cóżem ja winna, żem nie córką innego człowieka? Nie wiem tylko, czym godną ciebie i czy odwdzięczyć się...

HENRYK.

O jesteś dobrą i szlachetną Sylwjo, biedna twoja matka, która strasznie zawiedziona w swej miłości z żalu umarła, pozostawiła ci swoje serce i charakter. Jedna iskra mojej miłości starczyła, aby wskrzesić wszystkie te skarby. Mówisz o swej wdzięczności. Jam cię wychował dla siebie, nie dla innego, bom cię kochał. Jak samolub, porozrywałem wszystkie nici i spójnie wiążące cię z przeszłością i teraz jesteś tylko moją na wieki!

SYLWIA.

Tak, tylko twoją. Pamiętaj jednak, jam nie kwiat zdrowy, wzrosły wśród wonnych siół i łanów, lecz egzotyczna roślina, wychowana nagle i sztucznie umiejętnem prowadzeniem hodowcy. Niezbędną mi więc jednakowa temperatura i jednakowa siła słonecznych promieni. Twój charakter, wielkość twoja, miłość—oto moje słońce;

gdy na chwilę tylko zajdzie—zginę. Matka, wychowując dziecię, nie zapomina o niedoli i trwodze, które je może czekają, uczy je więc poświęcać się, przebaczać, cierpieć. Tyś uczył mię tylko, jak być szczęśliwą. Pozbawiona twojej miłości, moich zasad, celu mego życia, mojej religii, mego Boga—nie wiem, cobym uczyniła; dlatego przysięgnij mi Henryku, że w chwili, w której przestaniesz mię kochać, zabijesz mię.

HENRYK (*całując ją*).

Oto moja przysięga!

SYLWJA.

Wierzę jej, wierzę!

SCENA V.

Henryk, Sylwja, Baron, Prezes, Prezesowa, Józia, Alfred, Julja, Hr. August.

BARON.

Przyznajcie, że kucharz mój nieźle się sprawił, tylko bażant stary jakiś, zanadto miękki, rozłaził się; swojemi złotemi piórami przypominał mi prezesową.

PREZES (*nadchodząc*).

Jaką prezesową?

BARON (*na stronie*).

A tom się złapał. *(głośno)* Jaką? prezesową... Rolską.

PREZES.

Figlarzu, to ci się udało, ha, ha!

BARON (*na stronie*).

To wygodny mąż.

PREZES.

A nasza partyjka?

BARON.

Służę panu dobrodziejowi, panowie... *(do hrabiego i Sylwii)*. Wy się już wykradacie, szukacie samotności. Krew kipi—nie woda. No, no, jutro się sobą nacieszycie. *(wychodzą)*.

SCENA VI.

Ciż sami, prócz barona i gości.

ALFRED.

Dowcipne te uwagi, co prawda, nie bardzo odpowiadają powadze ojca.

PREZESOWA.

Dla czegoż nie miał powiedzieć tego, co myślał? Nie wypada, nie wypada, co świat powie? Widzę, żeś pan nie lepszy od innych, a żałuj, boś był u mnie na najlepszej drodze. Ja mam sumienie czyste, a ze świata kpię sobie.

Hr. AUGUST (*do Sylwii*).

Więc nawet przyjaźni mej nie chcesz pani przyjąć.

SYLWJA.

Timeo Danaos et dona ferentes.

Hr. AUGUST.

Ha, ha! Przysłowia, łacina!

SYLWJA.

Posiadam jeszcze inne: per risum multum potest cognoscere...

Hr. AUGUST.

Słyszę z ust pani epitet ten już po raz drugi. *(kłania się i odchodzi)*.

PREZESOWA. (*do Alfreda*).

Panie, co zanadto, to nie zdrowo, bo jak Boga kocham *(zamierza się)*.

JÓZIA.

Mamo, mamo, mama dziś zanadto w różowym humorze.

PREZESOWA.

Sylwja dziś jakaś smutna. Biedna! w tym dniu jeszcze więcej, niż kiedykolwiek, uczuwa się brak opieki kochającej matki. Chociaż, panie, są matki, którymbym 25 batów dała. Ja Józi mojej zpod oka nie puszczam; bez bon i guwernantek, sama starałam się zawsze wpajać w nią zasady, jakie powinna mieć żona i matka polka, żałuję nawet, żem ją tu dziś sprowadziła, jest to dom za mało przyzwoity. Być w towarzystwie z taką kobietą! (*wskazuje z pogardą na Julję*).

MICHALINA.

Wiecie państwo, rozpatrzywszy się, zliczyłam, iż jest tu 25 mężczyzn, część ich przeszła już na karty, i kobiet... zgadnijcie... cztery... no i Józia.

Hr. AUGUST

Jest to bukiet taki, jak Pani lubi, bez liści i zieleni.

BUJNICKI.

Same kamelje.

Hr. AUGUST (*na stronie*).

Dobrze się wyrwał.

JULJA.

Ach! te ich żony, wcale nie ciekawe.

MICHALINA.

Nie chodzi mi też o nie, ale o zasadę. Możnaby sądzić, ze ci panowie uważają nasze towarzystwo za niewłaściwe dla swoich magnifik. Jeżeli chcą się bawić sami, to niech chodzą sobie do Eldorado. Żonatych przyjmuję tylko wtedy, jeśli i żona mnie wizytę złoży. Niech wie o tem tu oto obecny, nie wiem, czy przytomny, pan Bujnicki. Wczoraj na ulicy spotkałam jego żonę, która mi się bardzo impertynencko przypatrywała.

PREZESOWA.

Jabym jej język pokazała!

JÓZIA.

Mamo!

MICHALINA (*z ironją*).

Wyglądała, bo wyglądała, prześlicznie. Żółty kapelusik i żółta sukienka z falbankami.

JULJA.

Z falbankami, ha, ha! a to się ubrała.

MICHALINA.

Przytem cera pendant do kostiumu—żółta jak cytryna (*do Bujnickiego*). Może pan powiedzieć swojej żonie, że kiedy się ma żółtaczkę, to niekoniecznie trzeba nosić żółte suknie.

SYLWJA (*do Henryka*).

Ach niegodne! Ty mię wyprowadzisz z tego domu, Henryku, zapomnę o tym świecie.

JULJA. (*do Hr. Augusta*).

Ależ, hrabio, trudno, żebyś mię przekonał o swoich gorących afektach, kiedy sam w nie nie wierzysz. Dostałeś znowu kosza od Sylwii, dziwię się, co prawda, że ty, człowiek z taktem i rozsądkiem, mogłeś się tak nie w porę do niej udać i teraz faute de mieux udajesz się z oświadczynami do mnie.

Hr. AUGUST.

Ależ kochana Juljo.

JULJA.

Nie biorę tego, co spada; jeżeli szukasz tak na gwałt czegoś co ma pełnić obowiązki ideału, to udaj się do prezesowej, za funt cukierków będzie twoją.

ALFRED. (*do prezesowej*).

To Henio Julję w świat puścił?

PREZESOWA.

W trąbę ją puścił! w świat puszczali ją inni, ah, to niebezpieczna awanturnica! takiej kobiecie rękibym nigdy nie podała. Rozwiodła się z mężem, aby żyć z Heniem wnet go puściła dla Gucia; później znów Henio; wszak słyszałeś o tym skandalu? pojedynkowali się, chociaż teraz niby zgoda. Mąż jej płaci 1,000 rs. rocznie.

ALFRED.

I z tego żyje?

PREZESOWA.

Na rękawiczki to nie starczy, trzyma przytem powóz i konie. Są kobiety, które zapominają o czci i honorze; wierzaj mi prócz od męża, przyjmuję niechętnie nawet bukiecik fiołków. Ale dajmy jej pokój, tuszę sobie, że jestem jeszcze zbyt młodą, aby, plotkując, konkurować ze staremi dewotkami. Jakie wolisz pan kobiety, brunetki czy blondynki?

SYLWJA.

Ty mnie nie lubisz Józiu.

JÓZIA.

Bo jesteś dumną i stronisz odemnie.

SYLWJA.

Wybacz, zbłądziłam; przed poznaniem pana Henryka mego męża, czułam żal do ludzi, do świata, byłam dziwną, niedobrą; wierzaj mi cierpiałam. Następnie gdy niebo otworzyło się przedemną, nie miałam czasu spojrzeć po za siebie. Czynię sobie za to wyrzuty. Może inni przez to cierpią, że przeznaczenie całe skarby szczęścia mnie jednej oddało. Ja tego niechcę; chciałabym, aby dobrzy i godni szczęścia, byli kontenci i szczęśliwi. Jesteś bladą i smutną, czy ty cierpisz Józiu?

JÓZIA.

Jestem zdrowa i apetyt mam doskonały.

SYLWJA.

Wybacz mi to pytanie, czy matka twoja dobra, kocha cię?

JÓZIA.

Gdym była mała, mawiała mi często, że mnie nie cierpi, widywałam ją też wtedy rzadko; dnie przepędzałam w kuchni, ze służbą. Nauczycieli nie miałam, nie czytuję też, jak inne, książek i choć muzykę bardzo lubię, grać nie potrafię. Teraz mama dla mnie dobra, prowadzi mnie do teatrów, na bale, na kolacye.

SYLWJA.

Moja droga, czy ta poprawa nie jest dla ciebie gorszą? jak myślisz?

JÓZIA.

O ja wcale nie myślę, to tak przyjemnie nie myśleć, to całe szczęście moje.

SYLWJA.

A cóż zrobisz, gdy pokochasz jakiego młodego człowieka, gdy będziesz kochaną? Chociaż niewinna, czy potrafisz wytłumaczyć mu swoją przeszłość?

JÓZIA.

Ja, brzydka, bez posagu i wykształcenia, kulawa, mam być kochaną? Któż spojrzy nawet na mnie? Ja miałabym mieć męża, rodzinę, dom mój własny? o takiem szczęściu nigdy nie marzę.

SYLWJA.

Biedne dziecię!

JÓZIA.

Wiesz, mnie się zdaje, że każdy człowiek przychodzi

na świat, trzymając pod pachą jakąś rekomendacyę piśmienną od Boga; zgodnie też z tą książką meldunkową, ten będzie zbrodniarzem, ów wielkością, sławą, ta będzie szczęśliwą żoną, matką, ta będzie cierpieć, biadać. Ja przyszłam na świat z pustemi rękoma. O mnie zupełnie zapomniano, tułam się też po tym świecie niepotrzebnie, bez roli, ot, tak sobie.

SYLWJA.

Nie wiesz co cię czeka.

JÓZIA.

O nie pocieszaj mię. Zresztą mama jest jeszcze bardzo młoda, ja muszę jej matkować, często strofować.

SYLWJA.

Chodź moja biedno mentorko, będę o tobie pamiętała, zobaczysz, pomówimy z Henrykiem, musimy ci męża wynaleść.

JÓZIA.

Zapomnisz o mnie, zapomnisz *(wychodzą)*.

SCENA VII

Ciż, prócz Sylwii i Józi.

MICHALINA (*do Henryka*).

Nareszcie chwilkę jesteś wolnym. Mam ci uczynić małą propozycyę. W przyszłym tygodniu wyprawiam moje imieniny.

BUJNICKI.

Wszak były dopiero w przeszłym miesiącu.

MICHALINA (*do Bujnickiego*).

To były urodziny. Zresztą pan możesz nie przyjść. *(do Henryka)*. Żony twojej nie zapraszam; trudnoby ją od miodu oderwać, ale ty wszak już miód nie z pierwszej pszczółki zbierasz.

JULJA.

Przyjdź pan, przyjdź. *(wchodzi baron).*

BARON.

Na Imieniny? zawcześnie; ja, jako ojciec, uważam to za niestosowne.

JULJA.

Też pan, jako ojciec możesz zostać w domu.

HENRYK,

Stanowczo odmawiam.

MICHALINA *(do Bujnickiego).*

Zostawiłam w jadalni mój wachlarz. *(Bujnicki odchodzi).* Stanowczo? Takim bardzo stanowczym nigdy pan nie byłeś.

JULJA.

Jak Matkę kocham, nigdy słowa nie dotrzymywał.

MICHALINA.

Przecież to żona, nie przyjaciółka, ta sama żona na całe życie. Słowo daję, on wcale na mnie nie robi wrażenia małżonka, a z żoną obchodzi się, jak z kochanką, której, nie mając pieniędzy na kupno cukrów i brylantów, podarował nazwisko.

JULJA.

Przecież mu jeszcze posag dali.

MICHALINA.

Ha, ha! Pyszny interes! To tak, jakbym ja jeszcze panu Bujnickiemu karety fundować miała.

HENRYK.

Ile pani ma lat?

MICHALINA.

Skończyłam 18.

HENRYK.

Na ten wiek bardzo pani rozsądna. Lecz w takim razie mam jeszcze parę lat czasu do odwiedzenia pani.

MICHALINA.

Je m'en console, mon cher. Nigdy za panem nie przepadałam.

HENRYK.

Ani trochę?

MICHALINA.

Słowo daję. A jeszcze na męża! Broń Boże! Oczy bardzo ładne, broda niczego, ale nieradny, znudzony tro chę... próżniak.

HENRYK.

Dziękuję pani.

MICHALINA.

Więc nie będziesz pan?

HENRYK.

Nie będę.

MICHALINA.

No, to balu także nie będzie.

Bujnicki przynosi Michalinie wachlarz.

BARON.

Jak się tu państwo bawicie?

JULJA.

Nie źle. Panowie bawią się naszym dowcipem, merwą; my zaś zadowolone, czując o ile od nich jesteśmy

przytomniejsze, dowcipniejsze i żywsze. Czasami dostają burę, jak zwykle.... dzieciaki.

BARON.

Możeby jaką zabawę towarzyską urządzić?... templa, lancknechta lub... djabełka?

JULJA.

I owszem. tylko panowie wiecie zapewne, że w balowych tualetach nie ma miejsca na portmonetki. *(wychodzi pod rękę z baronem).*

PANOWIE.

Wiemy, wiemy!

MICHALINA *(wychodząc z Bujnickim).*

Żeby pan wiedział, że jutro oczekuję u siebię pańskiej żony.

BUJNICKI.

Ależ ona chora.

MICHALINA.

To mię nic nie obchodzi; niech się ciepło ubierze! *(wychodzą wszyscy oprócz Alfreda i Prezesowej).*

SCENA VIII.

Alfred, Prezesowa.

PREZESOWA.

...Otóż pewnego razu nagle mąż mój wynajmuje dorożki i całe towarzystwo wybiera się do Natolina. Mnie szukają po całym mieście, ani słychu ani dudu. Szelma Józia ma łeb. mówi: żebyście mnie byli się spytali, zarazbym wiedziała, gdzie się mama znajduje. Proszę ja pana, potrzebowałam bardzo ich głupich dorożek! miałam wtedy karetę, obitą niebieskim atłasem i piłam

szampana. Ale chodźmy już! nie cierpię tak długo siedzieć na jednem miejscu.

ALFRED.

A może by popróbować szczęścia w djabełka?

PREZESOWA.

Nie lubię kart! Zresztą przyznam panu otwarcie, iż towarzystwo tych pań wcale mi nie odpowiada. Rozwódki o wątpliwej reputacyi! Może by lepiej przyjść do bufetu na kieliszek szampana (*wychodzą na lewo do jadalni*). Otóż powtarzam ci, jesteś u mnie na jak najlepszej drodze. Pojmujesz, jestem przecież kobietą z towarzystwa i tak mało znając pana.....

SCENA IX.

Henryk, Julja (*w okryciu wchodzą z prawej strony*).

JULJA.

Tylko jedno słowo.

HENRYK.

Słucham panią.

JULJA.

Myślałam, żeś lepszy i szlachetniejszy, Henryku. W imię dawnej twej miłości, bo nie zaprzeczysz, żeś mię kochał, wypadało inaczej pożegnać się ze mną. Dla ciebie wszak, zapominając o wszystkiem, porzuciłam męża, dziecię, dom swój. Przysyłasz mi w zapłatę brylanty, jak jakiej kokocie, (*rzucając je*), masz, oddaję ci je.

HENRYK.

Porzuć pani te dramatyczne porywy; pomijając już niestosowną chwilę. jakąś do nich wybrała, jest ci z niemi zupełnie nie do twarzy. Posłałem ci brylanty,

przypuszczając, że je lubisz. Dla nich, bo nie dla mnie porzuciłaś męża, aby w dwa miesiące odjechać odemnie z Guciem, który był w stanie ofiarować ci piękniejsze.

JULJA.

A jednakżeś wrócił do mnie.

HENRYK.

Bo pogardzając tobą, zawsze cię jeszcze kochałem, miłością, za którą się posyła brylanty. Wszakże nie mogłaś pani wymagać, abym się ożenił z tobą.

JULJA.

Nie, ale pragnę twojej miłości, dziś więcej, niż kiedykolwiek, bo cię kocham.

HENRYK.

Żegnam panią (*wychodzi*).

SCENA X.

Julja, Hr. August.

Hr. AUGUST.

No cóż, Ewo pogardzająca owocami, które spadają, dosięgłaś już jabłka zakazanego?

JULJA.

Nie, jeszcze niedojrzałe.

Hr. AUGUST.

Mnie teraz pozwól pani powtórzyć, że w wybranej przez panią chwili, nie widzę ani taktu, ani rozsądku. Ale ja nienawidzę tego człowieka, który mi zawsze na przeszkodzie staje i jeżeli w nim jedna iskra tkwi dla ciebie, to użyję całej siły tchu mojej piersi, aby rozżarzyć ten ogień, w którym by Henryk spalił się na węgiel.

JULJA.

Bez patosu, mój drogi. Płuca masz za słabe do rozżarzenia takiego ognia. Zresztą, Boski płomień miłości sam się zapala, bez pośrednictwa osób trzecich. Niech tylko Henryk wyjdzie ze swej roli wielkiej szlachetności, w której mnie nie uważa za godną swego majestatu. W ostatnich czasach zgłupiał dla tej swej chodzącej cnoty dziedzicznej. Zobaczysz, wróci do mnie. Przy tem ogniu może i dla ciebie, hrabio, znajdzie się jaki, wygodny i ciepły kącik. Tylko, mój drogi, kup mi futro bo sama przedtem zmarznę. A na zadatek pocałuj mię-ot, tu. *(pokazuje na szyję)*

Hr. AUGUST.

Jesteś dziś uroczą. No, a rzucone mu brylanty mo żesz przecie podnieść.

JULJA.

Prawda! Chodźmy. Pozwalam ci, hrabio, odprowadzić mię... tylko do karety.

SCENA XI.

Sylwja *w okryciu*, **Henryk.**

HENRYK.

Jedźmy już, najdroższa, jedźmy!

SYLWJA.

Jeszcze chwilkę (*rozgląda się po pokoju*). Na zawsze więc opuszczam te mury, w których nie zaznałam ani chwili szczęścia; do domu tego, w którym miałam przebyć najpiękniejsze, najweselsze dni dziecięce—nic mnie nie wiąże, opuszczam go jak hotel. Ach! to smutno.

HENRYK.

Żałujesz, ukochana, że niemasz czego żałować?

SYLWJA

Tak, mój drogi, wstyd mi przed tobą, żem w szczęściu taką parweniuszką bez wspomnień ni przeszłości. Nie znalazłam jednej rówienniczki, któraby mi dziś drużką być chciała Oddana na jedną z pierwszorzędnych pensyj, byłam odsuniętą od grona mych koleżanek. Nie chciano żyć z córką człowieka, który, wyjechawszy przed 20 laty do Petersburga, nagle wrócił z tytułem i bogactwy. Dziś, w dniu tak ważnym dla każdej kobiety, patrz jak jestem samą. Dziś też więcej, niż kiedykolwiek czuję brak pieszczoty ojca, błogosławieństwa matki. Rok temu, w tym pokoju, ciebie poznałam.

HENRYK.

Byłaś bladą i smutną, w hebanowych twoich splotach tkwiły dwie róże czerwone.

SYLWJA.

Oczy moje od płaczu musiały być czerwieńsze od nich. Parę dni przedtem jeden z panów, którego nazwiska nie wymienię, śmiałą mową swoją obraził mię. Postanowiłam wtedy w zabawach naszego domu udziału więcej nie brać; ojciec jednak gniewnie mi przykazał, abym, jako jedyna gospodyni, bawiła mych gości; mówił mi, żem przesadzoną jak moja matka i że także zaczynam mu robić sceny. Nie liczyłam, że w dniu tym zwróci ktoś na mnie uwagę.

HENRYK.

Byłaś tak piękną, Sylwjo!

SYLWJA.

A dziś? Czy ci się już nie podobam? Nie patrz tak na mnie, Henryku.

HENRYK.

Jedźmy już, ukochana! (*obejmuje ją*).

SYLWJA (*czerwieniąc się*).

Jeszcze jedną chwilkę. Nie myśl mój panie,

żeś odrazu, jak Cezar, przyszedł, ujrzał i zwyciężył. Nie odpowiadałam ci prawie, ah! bo wtedy zaczęłam nienawidzieć i obawiać się wszystkich ludzi. Strasznie cierpiałam. Czyś słyszał, mój luby, o tych biednych chorych, którym się zdaje, że ich ktoś wiecznie prześladuje. I Ja wtedy byłam blizką obłędu. W nocy zrywałam się, zamykałam na klucz drzwi mego pokoju. We śnie zdawało mi się, że ojciec mię zmusza do jakiegoś ohydnego tańca, który raz w sali u nas widziałam, obok mnie wirowały z obnażonemi piersiami p. Julja i prezesowa. Któraż to z kobiet cierpienia takie w moim wieku przechodziła?

HENRYK.

Na cóż te smutne wspomnienia, w dniu szczęścia naszego. Ty płaczesz, droga?

SYLWJA.

O! to już przeszło, zresztą to łzy szczęścia, mój jedyny. Pamiętasz, przystąpiłeś wtedy do mnie poważny, zamyślony, byłeś inny niż wszyscy; dziwiło mię że cię widzę w tem towarzystwie, żenowało mię, że ty mnie tu spotykasz. Doszedłeś do mnie, nie pamiętam już, o czemś mówił, aleś mię nie zmusił, abym salon opuściła. Pytałeś mię o moją matkę, czy często grób jej odwiedzam? .....niewiedziałam nawet, gdzie spoczywają drogie jej zwłoki, któż mi miał o tem powiedzieć? Przypomniałeś sobie, żeś spostrzegł jej imię i nazwisko na grobowcu obok pomnika twej siostry. Odtąd bywałam tam często. Na grobie mojej matki, otworzyłeś mi wrota innego, nieznanego mi świata, świata dobroci i cnoty. Na grobie tym ożyłam przez ciebie. Pamiętasz, znosiliśmy tam najpiękniejsze kwiaty. Pan Bóg, jakby chcąc pomódz ci w twem dziele, jakby chcąc pokazać mi swoją wielkość, kazał, aby jasniej przyświecało nam słonko, aby głośniej śpiewały słowiki, i ciebie mi Pan Bóg przysłał, tyś też moim aniołem, bożkiem. Jak ja ciebie kocham, Henryku!

HENRYK.

I ja ciebie ubóstwiam, mój aniele, więcej niż kocha się kobietę kochankę. Mówisz, żem ja twoim mistrzem, żem cię uszlachetnił. Aleś ty, pojętna uczennico, przewyższyła nauczyciela i odkrywałaś mi prawdy i cnoty, o których ja nie mówiłem i nie myślałem. Jutro jedziemy do Wenecyi i do Rzymu.

SYLWJA.

Ja nie chcę, Henryku, zwiedzać muzeów, pomników, nie chcę zaglądać w te ruiny przeszłości, które przypominałyby mi tylko jej walki i zawody namiętności i upadek. Ja chcę tylko słońca, słońca!

HENRYK.

W okolicach Neapolu oczekuje już nas willa. Tam wśród palm, cytryn i granatów, bujać będziemy, zdala od ludzi i świata, nie rozumiejąc nawet innych dźwięków mowy, prócz naszych, przepędzać dni będziemy, jak w raju.

SYLWJA.

Ja tam umrę ze szczęścia, Henryku.

HENRYK.

Nie, będziemy żyli, będziemy się kochali, będziem szczęśliwi.

SCENA XII.

Henryk, Sylwja, *wchodzi* **Michalina.**

MICHALINA.

Niedyskretna, przerywam pierwsze sam na sam., Czy nie ma tu mojej chustki koronkowej? Gdzież Bujnicki? Zostawiłam w przedpokoju pod krzesłem.

HENRYK

Bujnickiego?

MICHALINA.

Nie, chustkę koronkową. Może byłbyś pan łaskaw mi poszukać. Sylwja wybaczy. (*Henryk odchodzi, szukając chustki*), a może tu się gdzieś zawieruszyła. No cóż szczęśliwaś? A teraz trzymaj dobrze, bo ptaszek wyfrunie.

SYLWJA.

Pani zapominasz, że jestem żoną (*wskazuje na obrączkę*).

MICHALINA.

Ha, ha, dzieciaku! Schowaj lepiej to passe-partout, inaczej amator zakazanych owoców prawnie należne mu skarby bardzo prędko porzuci; (*przypatruje jej się przez lornetkę*) masz młodość i zdrowie,—to mu wystarczy na rok, oczy masz ładne,—to na dwa, trzy lata. Ale pamiętaj, główna nasza siła tu (*wskazuje na głowę*) broń najlepsza, bo nieznana nieprzyjacielowi. Ci władcy świata traktują nas z wysoka swej wielkości, pieszcząc nas i chuchając jak na rozkapryszone dzieci. Ta niby nasza naiwność—to nasza siła. Oni mają rozum w zamkniętych biurach, katedrach lub trybunach, na ulicy, w pokoju i w salonie—to głupcy w porównaniu z nami.

SYLWJA.

O radach pani postaram się... zapomnieć. Wszystko coś mi pani mówiła, wydaje mi się tak dzikiem, jak tobie. gdybym ci radziła porzucić życie lwicy, na kolanach przebłagać męża i pielęgnować porzucone sieroty.

MICHALINA.

Zawcześnie, dzieciaku, czynisz uwagi innym. Nie trudno bujać w powietrzu nad ziemią z zamdlonemi oczyma, marzyć o słońcu, gwiazdach, różowych kwiatkach i białych gołąbkach. Lecz kiedy ci zdruzgoczą skrzydła, kiedy zmuszą chodzić po ziemi, kiedy zobaczysz, jak świat szary lub czarny—wtedy walczyć, cierpieć, umieć żyć—sztuka. Bo widzisz moja droga, życie

to wielka fura ładowna, którą my równym kłusem ciągnąć powinniśmy; woźnica gromi cię despotycznym batem—to nic; konie idące z tobą—czasami gryzą się, lub szarpną, znoś to, wszak i one biedne związane i na nikim innym mścić się nie mogą. Droga raz kamienista, drugi raz śliska, często z wybojami, rzadko równa—ale przebyć ją trzeba, więc bez uniesień, bez wyskoków! z głową pochyloną bez woli z losem, pogodzeni.

SYLWJA.

A pani coś ze swymi obowiązkami uczyniła?

MICHALINA.

Nie miałam wytrwałości dobiedz do mety. Wyrwałam się i bujam na manowcach! Bo widzisz człowiek, jak wulkan, dość piękny, ciekawy, póki nie wybucha.

SCENA XIII.

Wchodzi Henryk, (*przynosząc zarzutkę*) **i Bujnicki.**

HENRYK.

Przynoszę obie znalezione zguby.

MICHALINA (*wskazując na Bujnickiego*).

O tę byłam zupełnie spokojną.

BUJNICKI (*upinając na Michalinie jej chustkę*).

Czy pani widziała w oknie wystawowem tę kolję z szafirami.

MICHALINA.

Nie widziałam i nie ciekawa jestem. Ach, już pan to do wszystkiego zgrabny. Do widzenia. Adieu, hrabino Sylwjo! *(odchodząc z Bujnickim).* Zresztą tę kolję możesz mi pan przynieść.

SCENA XIV.

Henryk, Sylwja.

HENRYK.

Co ci jest, Sylwjo?

SYLWJA

O matko, matko moja!

HENRYK.

Czyż ja nie jestem przy tobie, czyż mnie nie kochasz?

SYLWJA.

Czy ja cię kocham? Ja cię ubóstwiam. Co mi świat, życie? Te nieszczęsne są same. Wsparta na twojem ramieniu mogłabym walczyć z tygrysami, hyenami *(ociera sobie oczy)*. Wszak ja nie śnię? Ty możesz być tylko sobą; może włos twój posiwieć, oko blask stracić, ale ty zostaniesz ten sam. Całe życie przejdziemy razem. Umrzesz, to i ja umrę, jesteś moim na zawsze, czyż nie dość szczęścia? Dzięki Ci Boże! Przypatrz mi się tylko, czym dość piękną dla ciebie, Henryku?

HENRYK.

Jedźmy już, jedźmy.

SYLWJA.

Chcesz tego! a więc jedźmy. Ojciec!

SCENA XV.

Sylwja, Henryk i Baron (*pijany*).

BARON.

Chodź w moje objęcia, córko i ty, mój zięciu. Bądźcie szczęśliwi i osłodźcie mi moje ostatnie lata, a Bóg

miłosierny, Bóg sprawiedliwy ziści moje prośby. Wznoszę codziennie modły do Niego... *(płacze)* abyście w szczęściu, w zdrowiu długie lata przeżyli. Ty mię opuszczasz, zostanę sam jeden, sierota jak biedny osamotniony kamień przy płocie. Widzisz *(chce klęknąć)*, tułam się u drogich twoich stóp i mówię: córko! nie opuszczaj ojca.

SYLWJA.

Ojcze, nie mów tak. Wrócimy nie długo, zobaczysz.

BARON.

Kiedy się jest kobietą, to się nie jest córką. Jaka ona piękna! Dziewica o śnieżnej piersi i lubieżnem spojrzeniu.

SZLWJA.

Głowę masz rozpaloną.

BARON.

Nie mam wcale głowy, wypadła mi razem z włosami. Oczy zaś na twarzy spacerują jak skazówki po cyferblacie: raz prosto, raz ukośnie, raz tu, drugi raz tu. Widzę, że jakaś piękna kobieta mię obejmuje, lubieżne jej spojrzenie mię przenika, czuję miękkość jej lica, usta jak malina, boisz się gołąbka mała? Chociaż mam lat blizko 60 przekonam cię, o pani, że serce moje młode i że kochać...

SYLWJA.

Boże on jest pijany! Jedźmy prędzej Henryku, jedźmy!

Akt drugi.

SCENA I

Scena przedstawia bogato i gustownie urządzony gabinet.

SYLWJA (*w negliżu*).

Już godzina 10-ta a mój pan jeszcze w objęciach Morfeusza. Trzeba go zbudzić. Albo nie! Od kilku dni jest mi jakoś blady i znękany. Niech sobie jeszcze spoczywa. Moją powinnością go rozerwać i rozweselić. Nie dopuszczę, aby te wszystkie ludzkie troski, utrapienia przedarły się przez moją miłość, która, jak mur Chiński ma go od nich wszystkich oddzielać. Uprzątnę tymczasem jego gabinet. Przyzwyczaiłam mego pieszczocha, że niedozwala nawet, proszę, gniewa się czasami, aby jego biurko i książki przez służącego były uporządkowane. Co prawda i ja nie lubię, aby co on używa, co w ręku codzień trzyma kto inny porządkował, a nie ja. Codzienną jego maderę z biszkoptami także ja własnemi rękoma przynosić mu muszę. Ale jak za to wszystko zdrajca potrafi dziękować. Ja go uwielbiam, ale nie zdaje mi się, aby mnie on mniej kochał. Otóż i on.

SCENA II.

Sylwja, Henryk.

SYLWJA.

Jak się spało memu gołąbkowi.

HENRYK.

Wcale nie świetnie.

SYLWJA

Widzę to po minie.

HENRYK.

Moja kochana, nie można być zawsze jednakowo usposobionym.

SYLWJA.

Aha kwasy! Myślisz może, że mię tą ostrą miną rozgniewasz To bodziec dla mnie, abym jak wiatr wszystkie chmury z twego czoła rozwiała.

HENRYK.

Jesteś wogóle trochę wietrzną.

SYLWJA.

Masz racyę. A kto mnie taką zrobił. Twoja miłość, dobrodzieju; sama się nie poznaję. Dawniej byłam poważną, czytałam Danta, grałam Betowena. A teraz zdaje mi się, że mam lat 16. Goniłabym motyle, zrywałabym kwiaty, naturalnie z tobą, tak jak wtedy w Monte-Petro.

HENRYK.

A nie chciałaś, konserwatystko, porzucać domu dla Florencyi, następnie Florencyi dla naszej willi.

SYLWJA.

A bo widzisz bałam się, czy szczęście zechce tak prędko wszędzie za nami podróżować. A miałam racyę niechcąc porzucać Neapolu, przynajmniej byś się tak nie krzywił. Pamiętasz ty to nasze gruchanie śród szmeru strumyków i śpiewu ptasząt. A to niebo włoskie, te palmy wspaniałe i cyprysy. Wiesz cała dusza moja była przepełnioną pięknem i szczęściem. Gdy jednak pod wrażeniem tych cudów natury, chciałam pisać

lub malować—nie mogłam. Ci płodni poeci i malarze albo nie czują tak silnie tego piękna, może nie są tak szczęśliwi, jak wtedy byłam, albo też ja nie posiadam ani odrobiny talentu poetyckiego.

HENRYK.

To najprawdopodobniej.

SYLWJA.

Patrzcie go, ten krzywy grymaśnik. Wracajmy tam, mój jedyny, powrócę ci tam zdrowie i humor.

HENRYK.

Nie jesteśmy już w stanie pozwalać sobie takich zbytków.

SYLWJA.

A, to ztąd zły humor? Interesy! (*zdmuchując mu z twarzy*). Precz z tem wszystkiem.

HENRYK.

Moja droga pieniądz...

SYLWJA

Nie chcę słyszeć. Kochasz mię w interesach, więc stoję świetnie, nie zbankrutuję. Zachwycałeś się wczoraj ciastkami, którem ci sama na obiad przyrządziła, prawda? Ty znowu swojem powożeniem na amerykanie zachwycałeś cały high-life wyścigowy. Otóż gdy utracim wszystko, ja pójdę za kucharkę, a ty za stangreta.

HENRYK.

Nie posiadając zdolności kucharskich, ciastka bowiem wczorajsze były niemożebnie spalone...

SYLWJA.

Nieprawda, niewdzięczniku, przyrumienione.

HENRYK.

Spalone, masz jeszcze i dowcip, gdy przyjdzie jednak bieda, to wszystko moja kochana...

SYLWJA.

Ah, mój najdroższy, nie biadaj, nie jeremiaduj. Może chcesz, żebym coś podpisała?

HENRYK.

Nie wiele już, biedna, sama posiadasz.

SYLWJA.

Mam jeszcze perły i szmaragdy, weź je. Wiesz, przyznaję, iż pod tym względem nie mam żadnej ambicyi. Wcale mi nie paliły szyi, jak księżnę Hortensyę, owe czeskie szkła, które nosiłam onegdaj na balu, zamiast brylantów tobie oddanych. Czy nie było mi w nich do twarzy? Tańczyłam do rana. Jak to głupio, że na balach publicznych nie wolno żonie z mężem tańczyć.

LOKAJ.

Pani Różycka.

HENRYK

Twoja nowa przyjaciółka.

SYLWJA.

Nie nowa, znam ją dłużej od pana, lecz wznowiona, gdyż długo nie widziana.

HENRYK.

Cóż za wczesna wizyta. Patrz i ta z majątkiem straciła już i maniery *(do lokaja)*. Proś! *(lokaj odchodzi)* a ja tymczasem się ubiorę. *(na stronie)* Z temi kobietami nigdy o niczem na seryo mówić nie można. Oj te kłopoty, te interesa, tylko w łeb sobie palnąć! *(wychodzi)*.

SCENA III.

Sylwja, Różycka.

SYLWJA.

Pani Różycka?

RÓŻYCKA.

Witam cię, drogie dziecię, choć nie mogę cię tykać kiedy ty mnie panią nazywasz, to zdradziłoby moje lata.

SYLWJA.

Dla mnie pani zawsze tak młodą i śliczną panną Zofią, jak przed kilkunastu laty, kiedyś z litości opiekowała się małą sierotką.

RÓŻYCKA.

Śliczną czarnuchą o błyszczących oczach i hebanowych splotach.

SYLWJA.

Którąś raczyła zawsze przysłanemi z domu orzechami i ciasteczkami.

RÓŻYCKA.

Wiele wody od tego czasu upłynęło, byłyśmy tylko rok razem, kiedyś ty wstąpiła na pensyę, ja już, dorosła panna, pełna nadziei i świetnych widoków, wyszłam z pensyi, aby się połączyć dozgonnym węzłem z młodym pięknym bogaczem. Teraz piękna Zofia, to starzejący się grzyb, bogactwa—to 10 palcy i głowa, zaszczyty: szyld, łokieć i nożyczki.

SYLWJA.

Pani zawsze wesoła, zupełnie już pogodzona ze swym losem.

RÓŻYCKA.

Ha! cóż robić, zapomniałam nawet, żem była kie-

dyś dziedziczką Złotych Pól z przyległościami, co prawda, włosy nie zapomniały mi posiwieć, tylko zęby po zgryzionych twardych orzechach życia jeszcze się trzymają. Wielem już w życiu przecierpiała. Mąż mój, gdy utracił majątek, może trochę i ze swojej winy, utracił zarazem siłę, wolę; jak chore dziecię musiałam go ożywiać. Pomogła mi w tem wprawdzie moja biedna matka, która w naszej ruinie cały majątek straciła. Na tych to ruinach bogactw i szczęścia, my bezbronne i słabe kobiety, zbudowałyśmy jemu i sobie życie bez wygód i przepychu, ale znośne i spokojne, za które też Panu Bogu dziękuję i z którego jestem zupełnie zadowolona. Żebyś pani wiedziała z jakiem upragnieniem oczekuję ja Niedzieli! Do 10-ej nie wstaję. Do łóżka przynoszą mi moją Kazię. Pannica ma już 4-ty rok Nie uwierzysz, jak mnie kocha, mówi że się z nikim nie pobierze, jak zemną. Taka rozkoszna pieszczocha.

SYLWJA.

A najstarszy synek pani ile już lat liczy?

RÓŻYCKA.

O! nie pytaj się wcale, zdradza moje lata, już jest w 4-ej klasie. Złapałam go wczoraj na papierosie, za karę nie pójdzie w niedzielę do teatru.

SYLWJA.

Przebłaga cię.

RÓŻYCKA.

O nie, trzeba kawalera krótko trzymać. Po obiedzie w święto jedziemy za miasto, już przyzwyczaiłam męża mego do tramwajów. Mama z przysmakami w koszyku; strasznie wnuczków psuje, dzieci hałasują, a mąż mój w siódmem niebie, nie poznałabyś tego dawnego arystokraty; gra w wolanta z Mieciem, a z Kazią tak się draźni, że często burę odemnie dostaje.

SYLWJA.

Czy mąż pani ma jakie zajęcie?

RÓŻYCKA.

On sprowadza z zagranicy materyały, nauczył się już buchalteryi, mama zajmuje się gospodarstwem i dziećmi, a ja na gwałt kraję i szyję.

SYLWJA.

Jakaż wielka miłość musiała się zdobyć na tę siłę woli i charakteru, która z zaparciem przeszłości skierowała się jedynie ku zapewnieniu szczęścia ukochanemu!

RÓŻYCKA.

O! nie myśl pani, abyśmy się karmili cukrami miodowej miłości,—to mdłe, nieposilne i niestosowne do naszego razowego chleba. Do męża mego jestem przywiązaną; łączy nas tyle chwil szczęścia, tyle godzin goryczy! Przebaczyłam mu, że stracił cały majątek.

SYLWJA.

Wszak on temu nie winien.

RÓŻYCKA.

Przeciwnie, zanadto lubił szyk, przytem hulanki.

SYLWJA.

Jakie hulanki?

RÓŻYCKA.

Jakaś baletnica, na którą podobno wiele pieniędzy utracił.

SYLWJA.

I ty mu to przebaczyłaś?

RÓŻYCKA.

Oh! nie patrz się na mnie takiemi strasznemi oczyma. Z początku rozpaczałam, lecz obowiązki, dzieci, matka mo-

ja podobno taką samą aferę w życiu swojem przechodziła. Zresztą była to jakaś miłostka przejściowa.

LOKAJ.

Pan Baron.

SYLWJA.

Prosić.

BARON *w głębi sceny do Sylwii* (półgłosem).

Nie obawiaj się, nie przyszedłem tu czynić ci wyrzutów, lub prawić morały. Nie miałaś ciekawości przez rok cały dowiedzieć się, czy żyję. Nie mogę rozkazywać ci, abyś czuła do mnie przywiązanie, żem twym ojcem, abyś czuła wdzięczność, żem cię wychował, żem ci zapewnił byt, przyszłość, szczęście. Nie przychodzę też wcale do ciebie, niemam więcej córki. Czy mąż twój w domu, mogęż się z nim widzieć?

SYLWJA. *Wskazuje pokój na lewo. Baron kłania się i wychodzi.*

RÓŻYCKA.

Pani jakżeż, nie pytać nawet, szczęśliwa?

SYLWJA.

Idealnie, jak tylko kobieta szczęśliwą być może. W zamian za miłość, którą mąż mój dla mnie czuje, miłość bez granic, poświęciłam mu całe moje życie. Rano ubieram się, starając się robić piękną dla niego, następnie przygotowując mu ulubione potrawy, później marzę o nim, dla niego siadam do fortepianu.

RÓŻYCKA.

Ah! on, jemu, o nim, dla niego, cóż za mała rola. Czyż ci wystarcza to bierne życie, to wykreślenie ze świata czynów swego ja i przemienienie się na przyrząd od rozweselania i bawienia kogoś.

SYLWJA.

Czyż to nie powołanie kobiety? Zresztą nic innego,

prócz kochać, nie potrafię. Uniwersytetów nie kończyłam gotuję nie świetnie, nawet szyć mię nie uczono. Prawda też że człowiek, któremu poswięciłam życie, był przysłany mi przez Boga, pokochałam go też za jego wielkie, wspaniałe...

RÓŻYCKA.

Wąsy i bakenbardy.

SYLWJA.

O wcale nie za piękność, lecz za szlachetność, wielkość jego charakteru, jego zasady, cnoty.

RÓŻYCKA.

Cóż to twój geniusz, bohater, Iliadę napisał, z Krzyżakami grób Zbawiciela ocalił, czy też Alpy przechodził?

SYLWJA.

Nie szydź pani, bo mi to ból sprawia.

RÓŻYCKA.

Wybacz, drogie dziecię, wierzaj mi, że ci życzę jaknajlepiej, widzę żeś piękna i rozsądna; życie znasz jednak mniej, mniej, niż dziecko. Znać, żeś wcześnie utraciła matkę. Ja doświadczona mężatka, mężowie nie darmo strzegą młode żony: o nich chciałabym ci trochę oczy otworzyć.

SYLWJA.

O! moje oczy otwierają się tylko wtedy, gdy im przykazuje, mój Henryk!

RÓŻYCKA.

Droga pani, miodowe miesiące nie trwają wiecznie, trzeba mniej poświęcać i mniej wymagać. Twój mąż jest człowiek porządny i zacny, ale zwykły śmiertelnik, który...

SYLWJA.

Który może mię zdradzić, myślisz.

RÓŻYCKA.

Nie...

SYLWJA.

Wtedy życiebym sobie odebrała, nie, gorzej, straszniebym się mściła.

RÓŻYCKA.

Mówmy o czem innem. Nie uwierzysz pani, jak mi się moja klijentela powiększa, co prawda i wszystkie inne magazyny konfekcyi przepełnione.

SYLWJA.

Więc dobrze idą interesa.

RÓŻYCKA.

Chwała Bogu, żeby tylko jeszcze mężowie chcieli mniej bankrutować.

SYLWJA.

A klijentki pani czy nie obrażają cię czasami pychą i dumą, czy zawsze grzeczne?

RÓŻYCKA.

O nawet serdeczne i przyjacielskie, naturalnie po kilkogodzinnem nudzeniu i targowaniu się. Zwierzają się Poznawszy tajemnice ich staników, poznajemy tajemnice ich serc i chatakterów. Pamiętniki magazynierek byłyby bardzo ciekawe.

SYLWJA.

Opisz je pani, tajemnice staników mogą być nie mniej ciekawe od tajemnic stanu.

RÓŻYCKA.

Nie, dyskrecya u nas ściśle zachowana. Żegnam panią; huk roboty na mnie czeka, a polecam się pamięci nie do magazynu, lecz do mego mieszkania, w Niedzielę.

SYLWJA.

Z całą przyjemnością, chociaż nigdzie jeszcze nie bywamy.

wchodzi Alfred, kłania się.

SCENA IV.

RÓŻYCKA.

Spotkałam pana wczoraj na ulicy.

ALFRED.

Kłaniałem się pani.

RÓŻYCKA.

Właśnie, dziwiłam się, że będąc w tak licznem i wesołem towarzystwie, zdołałeś mię pan zauważyć. Do widzenia *(wychodzi)*.

SCENA V.

ALFRED.

Czego ta baba chciała odemnie.

SYLWJA.

Miała słuszność. Pewnieś był w takiem towarzystwie, w którem lepiej nie kłaniać się przyzwoitym kobietom.

ALFRED.

Byłem z prezesową i jej córką, kobietą z towarzystwa.

SYLWJA.

Ha, ha, pewnie ona sama ci o tem mówiła.

ALFRED.

Której wolę jeden palec, niż dwie panie Różyckie.

SYLWJA.

A to inna rzecz. Ale czemuż mam przypisać to szczęście, jakie mię dziś spotyka? Przypomniałeś sobie nareszcze, że jeszcze żyjemy.

ALFRED.

Przychodzę z pożegnaniem.

SYLWJA.

A!

ALFRED.

Gospodarstwo, kłopoty, zajścia mię wzywają.

SYLWJA.

Jakie gospodarstwo?

ALFRED.

Jakto jakie? Wszak ja sam gospodaruję w moim majątku. Ja nawet właściwie stale na wsi mieszkam. Nie wiedziałaś o tem? Wyrwałem się tu tylko a karnawał. Tylko dla teatru amatorskiego u Zapolskich musiałem przez post tutaj pozostać. Po Wielkiej Nocy znowu wyścigi, wystawa. Tak jakoś się się zasiedziało w Warszawie. Ale jutro stanowczo wyjeżdżam. Mama sążnistymi listami bezustannie mię wzywa, wprawdzie jest już po żniwach, ale zawsze... oko pańskie konia tuczy.

SYLWJA.

Jakoś oko pańskie jest dziś trochę zaspane, znowu jakieś parę pięć bezsennych nocy.

ALFRED.

A, było kilka pożegnalnych bibek, szczególniej wczoraj świetnieśmy się bawili. Znasz Julkę Kokucińską, no ta, co to zwykle w vieil or aksamitnym kostiumie chodzi, na lewym policzku ma śliczny pieprzyk, wysoka brunetka, wiesz, co nam poradziła...

SYLWJA,

Nie ciekawa jestem

ALFRED

Abyśmy nus pieds kankanika ucięli, wiesz, ma śliczne jedwabne pończoszki, wszędzie białe batysty, koronki.

SYLWJA

Ale ja wcale nie jestem ciekawa.

ALFRED.

Następnie Aurelka wlazła na stół, wiesz, ona dawniej przez długi czas w cyrku była, później tańczyliśmy kontredansa na czworakach. Twój ojciec także z nami był, jeszcze świetnie dyryguje tańcami. Ta Julka, ta Julka, co to za kobieta! powiadam ci, kochana kuzyneczko, jednym tchem wytrąbiła całą butelkę musującego szampana. Słowo honoru. Z jakiem politowaniem na mnie spoglądasz. Nie bój się, uspokoję się jeszcze, ostygnę jak twój Henio, który także nie zawsze był świętym, mam jeszcze czas na taką zacną, spokojną miłość, jak wasza, na to tkliwe dolce far niente łona rodziny; bo dzisiaj nie z jedną, ale z czterema żonami spaliłbym się przy tym spokojnym płomieniu małżeńskiego kominka. Niewyczerpany zapas miłości, tkwiący we mnie jest jak bukiet kwiatów w pełni cudownego rozwoju i rozkwitu; gdybym go złożył u stóp jednej bogini, możeby ją nie olśnił. lecz odurzył i zemdlił. Niech spadnie trochę kwiatów, niech mi zerwą liście, czyż żonę dla tego będę miał mniej kochać?

SYLWJA.

Naturalnie jej les beaux restes powinny wystarczyć. Nie mówmy o tem, nie mam zamiaru ani cię przekonywać, ani nawracać. Może być, że cię kiedyś ożenią, może nawet i ród twój nie jest skazany na wieczne wyginienie, ale wszak i stajnie nasze nie giną, psiarnia mego męża ogromnie się powiększa. Ty i miłość! Czyż nie wiesz, że miłość, to ów młodzieńczy bukiet rajskich czarownych kwiatów, odurza nas, upaja, aby odebrać nam możność anatomicznego analizowania łodygi, pręcików i korony. A, bo miłość to nie kamelja, piękna ale sztuczna i zimna, lecz fijołek, rezeda, które, jak rozkoszny napój, upajają nas, odurzają, zamykają nam oczy, wprowadzając w jakiś czarowny niebiański świat szczęścia i zapomnienia. A ty rozrzucasz z tego bukietu najpiękniejsze kwiaty kuchar-

kom, pozwalasz zrywać liście kokotom, zostawiając dla żony—suchą miotłę! – Biedna, jakże jej żałuję.

ALFRED

Cóż ty sądzisz, żem ja nie zdolny już kochać, że nie wiem, co miłość znaczy. Parę miesięcy temu, może byś się nie myliła, ale nie dziś. Byłem znudzony, znękany: obiady Massiou i kolacye Boqueta wydawały mi się wstrętnemi; najniesłuszniej w świecie napisałem do Mańki list impertynencki, całe życie toż nędzna wegetacya, w której dla codziennego jadła, spania i rzadkich rozrywek ma się na karku weksle i lichwiarzy! Wtedy poznałem kobietę pełną gorących uczuć i rozsądku. Pokochać ją i wzajem być kochanym, było to dziełem jednego wieczora. Wdzięki jej opisać trudno, są już w pełni swego rozkwitu. Blondyna o żarzącem oku, skromnie ukrytem pod powłoczystą czarną aksamitną rzęsą, kibić wysmukła, wspaniała.

SYLWJA.

A, dość szczegółów! nie chcę twojej dyskrecyi brać na pokuszenie.

ALFRED.

O! nie obawiaj się; honor kobiety jest dla mnie świętym. Jedno tchnienie tej kobiety ożywiło mię. Skrzydła miłości, które mi nagle wyrosły, były tak olbrzymie, że oprócz pierwszego miejsca dla mej czarodziejki, znalazły swe miejsca Aurelka, Mania—wszystkie. Odtąd i kolacye mi smakują i teatr mię bawi.

SYLWJA (*z ironją*).

A wiesz, że to zaiste wielka musi być twoja miłość!

ALFRED.

Tak, wielka, bardzo wielka. Tak samo jak Henio, najwięcej hulał i szalał, kiedy kochał się w Julii. A! (*zapomniawszy się*).

SYLWJA.

Tak, z rozpaczy, bo przekonał się, że jego miłości nie warta. Nie dziw się, znam jego całą przeszłość.

ALFRED.

I o Joasi wiesz, która się w ich domu wychowywała.

SYLWJA.

To była pierwsza jego miłość i ta go zdradziła.

ALFRED.

Ale zkąd, była bardzo do niego przywiązana, tylko sprzykrzyła mu się, posłał więc do niej najemnego adonisa, przy którym niby zrobił scenę zazdrości i puścił ją.

SYLWJA.

Nie prawda.

ALFRED.

Ale mówię ci, znam przecież dokładnie tę sprawę. Dał jej jeszcze 1,000 rs. na założenie magazynu, później żyła jakiś czas z tym nasłanym, a gdy i ten ją porzucił lansowała się tu w Warszawie na wielką skalę. A o professorowej wiesz?

SYLWJA.

Wiem.

ALFRED.

To była żona jego ukochanego mistrza, który od dzieciństwa bawił u nich w domu. Śliczna była kobieta; Henio miał ogromne szczęście, bo był w miłostkach bardzo romansowy i melancholiczny; to się kobietom podoba. Otóż, wyjechali sobie na parę miodowych tygodni do Włoch, później comme de raison ją puścił; nie wiem co się z nią potem stało; podobno umarła, niektórzy mówią, że mąż jej przebaczył.

SYLWJA.

Dobry mąż.

ALFRED.

Bardzo dobry. Ale najlepsze są Lola i Tuzia; mają one szramy na szyi i mówią, że to szczerby od całusów Henia; miał on podobno pasyję w szyję całować.

SYLWJA.

Wszystko to bezczelne kłamstwa. Henryk nie był gałganem i łotrem, jak inni i nie przychodził po pijanemu kłamliwemi oszczerstwy zatruwać ludzi. Czemuż, pomimo oddzielenia się od tego nikczemnego świata, przedostają się do nas razem ze słońcem jego podłe wyziewy i zgnilizna!? *(wychodzi).*

SCENA VI.

Alfred (*sam*).

ALFRED.

A to ci jędza, panie! Widząc przed rokiem tę czystą jak łza, sentymentalno-melancholiczną dziewicę, któżby się mógł spodziewać, że taki djabeł w niej siedzi? Z tym rykiem i piekielnem spojrzeniem zupełnie mi przypomina tatkę baroniunia. Wszak i on nie dalej, jak w przeszłym tygodniu, gdy Julka, odsuwając się od jego całusów wyrzekła, że się pieszczotami starców brzydzi, był wściekły, piana wystąpiła mu na usta i wytłukł całe szkło u Stępka. Nie ma co, Henio ładnie się ubrał. Te kobiety, te kobiety. Nie znam anatomii ani psychologii, nie wiem zresztą, czy to do tych nauk należy, ale panna i mężatka różnią się... jak las i woda; porównanie mi się nie udało. Panna niby to mówi, niby to chodzi, ale to ni to, ni owo. Mowa—frazesy, chodzi, jak mama każe. Zaszyta w swoje ubranie pod szyję, ukrywa zarazem swoje zalety, wady, rozum i głupotę. Jej święta niewinność, to nieprzejrzysta gaza, pod którą dla najwięcej doświadczonego oka—wszystko ukryte. Nigdy nie lubiłem tych lalek ładnie ugrupowanych pod kloszem. Kupujemy koty w worku. Dopiero po

ślubie ze stanikiem więcej otwartym występuje charakter, uczucie, skłonnosci. Niestety, już zapóźno! I mnie chcą żenić. Nie, niema głupich.

SCENA VII.

Baron, Henryk, Alfred.

BARON.

Nie, taka lekkomyślność jest dla mnie niezrozumiałą. Wpadłeś w pułapkę najgorszych lichwiarzy, którzy z zasady nierobią z kim innym interesów, jak z małoletnimi, widocznie i ciebie do nich zaliczali.

HENRYK.

Nie czas na uwagi, mój panie, położenie moje najrozpaczliwsze, może trochę z mojej winy; nie wiedziałem, nie umiałem... przecież źle samemu sobie czynić z pewnością bym nie chciał.

BARON.

Passiwa twoje wynoszą 800,000 rs. Do ostatniej chwili nie wiedzieć jak się stoi, nie znać wielkości swoich długów! Spytaj się twojej żony, toż i ona od czasu do czasu rachunki z swoją kucharką robi. I Fredzio po uszy zadłużony.

ALFRED.

Ja tam także nigdy nie wiem, co podpisuję.

BARON.

To także bardzo mądry jesteś. Ogłaszać upadłość wtedy, kiedy się nie ma już złamanego szeląga na czarną godzinę dla siebie.

HENRYK.

Wszak mam jeszcze u pana posag Sylwii.

BARON.

Czyż ja ci w stanie jestem go oddać.. Zresztą, zamiast posagu dałem mojej córce, renomę bogatej. Podpisała ci weksle, któreś zresztą i sam czasami niezdarnie fabrykował, niechcąc zapewne jej fatygować, na summy o wiele przewyższające jej posag.

HENRYK.

Wszak pan mi nie będziesz wykładał nauk moralności? To moja sprawa. A teraz żądam posagu Sylwii. Po matce wiem, iż zostało 100,000 złotych. Gdzież rada familijna z panem na czele pieniądze te podziała? Byłem tyle szlachetnym i delikatnym, żem się nie upominał o posag, kiedym go nie potrzebował, a teraz chcę, abyś mi pan oddał moje pieniądze, bo wiesz najlepiej że z głodu umieram.

BARON.

Naiwność twoja przechodzi granice przyzwoitości. Kiedym ci posagu nie wypłacił przed ślubem, teraz z pewnością ci go nie oddam. Szlachetny i delikatny mężu, żeniąc się, powinieneś był wiedzieć, że przyszłość to nie półtora roku. Pieniędzy nie mam, chcesz to się procesuj ze mną; masz pieniądze, to zamknij mię na Leszno, podły hotel, ale nie będzie mnie przynajmniej kosztował.

HENRYK.

Więc nie wstydzisz się pan otwarcie się przyznawać, żeś oszukał własną swoją córkę? Wszakżeś pan nie zapomniał, żem dla was zerwał z całą swoją rodziną, z całym światem, wszakżeś nie zapomniał pan, jaka różnica nas przedziela i że jedyna nić łącząca mnie ze Sylwją —przywiązanie, może się zerwać, jeżeli ją tak brutalnie szarpać będziecie.

BARON.

Nareszcie i w tobie, piękny arystokrato, widzę ogień. Szkoda, że to tylko rakieta barwna, lecz krótka.

HENRYK.

Bez frazesów, bez zwlekań: czy oddasz mi pan choć część moich pieniędzy?

BARON.

Ale nie oddam, bo niemam. Gdybym miał, to także nie wiem, czybym je tobie oddał. Zgaduję pana, dla żonki'ś ochłódł i niezadługo córeczka mnie znowu na kark powróci.

HENRYK.

To bezecnie, podobne przypuszczenia tworzyć. Gdyby matka jej żyła...

BARON.

Gdybyśmy ojcowie byli tak pewni ojcowstwa, jak matki macierzyństwa, bylibyśmy także czulszymi. Z matką Sylwii żyłem tylko 2 miesiące, porzuciła mię, byłem dla niej za mało szlachetnym. Po jej śmierci wziąłem Sylwję, wychowanie także kosztowało. Sylwja do mnie nie podobna, nie posądzam matki, ale czyż ja mogę wiedzieć...

HENRYK.

A, brudy, brudy!

BARON.

Zresztą wychowanie Sylwii także mię dość kosztowało.

HENRYK.

Ojciec traci pieniądze małoletniej córki, brudy, brudy!

BARON.

Mój drogi, to się zdarza w najporządniejszych familjach *(unosząc się)*. Nareszcie, dość, mój panie; zaczynasz zapominać, że i moja cierpliwość ma granice, których nie wolno przekroczyć. Postępowałem tak, jakem chciał, i z pewnością nie przed tobą będę się usprawiedliwiał.

HENRYK.

A jednak ja żądam tego.

BARON.

Paradny jest ze swemi żądaniami! żądaj. Nawet gniewać się na niego nie mogę; widocznie czuję jakąś słabostkę.

ALFRED.

Bardzo słusznie, bo przyznaję, że moja rola tu między wami stała się djabelnie nudną i nieprzyjemną. A więc dość już kłótni, dajcie sobie buzi i kwita.

BARON.

No, no, nie jestem obraźliwy. On żąda pieniędzy; ma racyę, tylko ja mu ich nie dam, bo niemam. Położenie jego, prawda, że arcy nieprzyjemne. Czeka go, po prostu mówiąc, ciupa. Jestem starszy doświadczeńszy, poradzić bym mógł, gdyby chciał mię słuchać.

HENRYK.

Radźcie, radźcie, bo głowę tracę.

BARON.

Ja jutro czmycham za granicę wprawdzie nie tak goły jak ty. Ale czyż z ciebie wierzyciele będą mieli więcej pociechy? Zepsuty dzieciak, jedynaczek, wyrwawszy się nagle z pod kurateli mamy i ciotek, nie nabroił by więcej, niż ty w przeciągu ostatnich tych kilku tygodni. Ależ między twymi wierzycielami niema jednego porządnego człowieka, ostatnia hołota, stolarze, tapicerzy, krawcy, cukiernicy, żydzi, lichwiarze. A te twoje przedsiębiorstwa! jakaś fabryka sztucznych nawozów, dostawa smarowideł do kolei. Ty i interesa! Teraz, kiedy nie masz przy duszy szeląga, kiedy żona twoja we wszystkie te brudy zamięszana, kiedy nazwisko twoje zwalane na jakichś antrepryzach, szyldach—każesz mi radzić.

HENRYK.

Niemając na termin należnych pieniędzy, musiałem im oddać chociaż nazwisko moje, jeszcze wtedy procentujące. Dziwisz się pan, żem niechciał dobrowolnie runąć w przepaść, że nie chcąc utracić niezbędnemi dla nas potrzebami i wymaganiami przez ojców naszych opodatkowanego gruntu, nie zważając na krwawe pociski i rany, chwytałem się najstraszniejszych ostrzy, aby nie runąć w przepaść?. Tak, w przepaść, gdyż przepaścią był dla mnie świat bez przepychu i komfortu. Jedyną siłą moją była słabość. Ja wstydziłem się chodzić pieszo i mieszkać nie w swoim pałacu.

BARON.

Ambicya, ten balast w życiu człowieka,—jedyna z właściwości ludzkich nie mająca rozumu. Bo i przyjaźń nie tak naiwna, jak się wydaje i wdzięczność liczy na odwdzięczanie, tylko ambicya głupia, jak nowonarodzone dziecię. Odetchnąłem, kiedym się tego kamienia u szyi pozbył. Niemam wstydu, ani ambicyi. Nie kaleczyłem się nad przepaściami, prawda że patrząc w górę, widziałem tylko szubienicę i dobrowolnie rzuciłem się w kałużę, drwię sobie, żem zawalany, jest mi w niej miękko i wygodnie.

HENRYK.

Nie pora na argumenty i na zmianę moich przekonań i pojęć. Na Boga, nie pastwcie się nademną, lecz działajcie, radźcie, możecie ze mną robić, co chcecie, ja już sił nie czuję, głowę utraciłem, albo lepiej zostawcie mię, a w łeb sobie palnę.

BARON.

Nie palniesz, nie palniesz!, kiedy bigos z twej nierozwagi, lekkomyślności i niedoświadczenia już sporządzony, chcesz, abym cię z tego wrzącego garnka zdrowym wydostał. Dziś przed wieczorem i ja uciekam za

granicę. Jedyna rada, jeżeli nie chcesz do więzienia się dostać, abyś jechał ze mną.

HENRYK.

Dobrze, a paszport?

BARON.

I ja paszportu nie mam. Pojedziemy do Lubna, jest to nowo założony zakład kuracyjny, bardzo ładna miejscowość, blizko granicy, możemy nawet parę dni tam się zatrzymać, jest tam Julja, prezesowa, która była za gorącą, wskutek czego lekarze kazali jej hydropatyi używać; możemy nawet tam bardzo przyjemnie czas spędzić.

HENRYK.

Tak, mnie teraz tylko zabawa w głowie!

BARON.

Znam naczelnika tamtejszego powiatu, zdaje się, iż uda mi się jako właścicielowi majątku, otrzymać od niego pół paski, z któremi granicę przejedziemy, następnie możesz się udać do twojej ciotki, może ją przebłagasz, może ci wyznaczy jaką rentę, wreszcie możesz się wziąść do jakiegoś zajęcia.

HENRYK.

Naturalnie, naturalnie. Czyż nie mam nóg, rąk, głowy, jak inni. Czyż nie posiadam trochę wykształcenia, kończyłem gimnazyum, chodziłem na prawo.

BARON.

Częściej na lewo.

HENRYK.

Niemam wiele sił, ale dużo, dużo ochoty. Na samą myśl że opuszczam Warszawę, że wyjdę już z tej błyszczącej nędzy, czuję, że odżywam. Boże, Boże dopomóż mi!

ALFRED.

A cóż zrobisz z Sylwją, przecież jej tu tak samej zostawić nie można?

HENRYK.

Prawda, ale ja niemam siły jej o wszystkiem powiedzieć.

BARON.

Możesz do niej napisać.

HENRYK.

Prawda *(siada do stolika pisze i rwie kartki).*

ALFRED.

Miły papa! on musiał już kiedyś spaść z szubienicy. Czyż my, żyjąc z podobnym człowiekiem nie jesteśmy prawie godni jego? Muszę się nad tem zastanowić, jeżeli nie zapomnę.

HENRYK.

Nie, nie mogę do niej pisać; to co mi doradzacie, jest ohydnem. Nieznam waszych wykrętów i bocznych dróg, do celu umiem tylko chodzić drogą prostą.

BARON.

Wcale chodzić nie umiesz. Nie zawracaj mi też głowy ze swoją prawością, przy której kłócisz się o posag żony, fałszujesz weksle i zarywasz ludzi. Prosta droga! to szosa, na której słońce piecze, drobne kamyki nogi ci ranią, a tłumy przepraszając gniotą i trącają. Dobrze to, kiedy się ma karetę na wysokich resorach z fordeklem. W przeciwnym razie wybieraj tylko ścieżki boczne. Śród gęszczy znikniesz z oczu ludziom i w cieniu dojdziesz do celu na równi z powozami.

ALFRED.

Jesteś wielkim baronie!

BARON (*do Alfreda*).

Mówiłem ci już: po wypiciu. *(do Henryka)* No cóż ty, babo, zamierzasz z sobą zrobić, bo na mnie czas.

HENRYK.

Czy ja wiem, w łeb sobie palnę

BARON.

Nie strasz mię, bo zemdleję.

HENRYK.

Albo jadę z tobą. Sylwję zostawię.

BARON.

Tak, ucieczka z kobietą już jest nieco trudniejszą.

HENRYK.

Zresztą, ciotka by jej nie przyjęła; a do niej zamierzam się udać, może mi w czem dopomoże; może ją z Sylwją pogodzę, stamtąd też list jej napiszę.

BARON.

Sylwja ma jeszcze zapewne trochę brylantów, które gdy spienięży, starczą jej na utrzymanie.

HENRYK.

Naturalnie, a gdy jako tako się urządzę, wezwę ją do siebie. Jam już gotów.

BARON.

To jedźmy, dla mnie każda chwila droga *(do Alfreda)* A ty?

ALFRED.

I ja wyjeżdżam do domu na Lubno.

BARON.

Wstąpił do piekieł, po drodze mu było.

ALFRED.

Baron dziś bardzo ożywiony.

BARON.

Po butelce dobrego węgrzyna jestem zawsze elokwentnym.

(Wchodzi Hr. August)

HENRYK.

Wybaczysz, że ani na chwilę służyć ci niemogę. Kłopoty, zajęcia, interesy, mój drogi nie mam twoich milionów.

HR. AUGUST.

Nie przeszkadzaj sobie, proszę cię, zemną nie potrzebujesz robić ceremonii.

ALFRED.

Wiesz, ucieczka, Henryk jest zrujnowany. Jedziemy wszyscy do Lubna, jest tam Julja, prezesowa, przyjeżdżaj, będziemy się pysznie bawili. Tylko Sylwii ani słowa, ona nie wie jeszcze o niczem. *(Wychodzą wszyscy prócz Hr. Augusta).*

SCENA VIII.

HR. AUGUST.

Nastąpił nareszcie dzień mego benefisu; czy ja ją naprawdę kocham? o ile można kochać bez najmniejszej wzajemności kogoś, kto obrażając naszą miłość własną, daje nam bezustanne dowody wzgardy i lekceważenia. Czy ja ją kocham? Jakżeż trudno określić granice, w których się kończy miłość, a zaczyna upór, chęć zwyciężenia i ambicya.

SCENA IX.

Sylwja, hr. August.

SYLWJA *(za sceną).*

Heniu, Heniu!

HR. AUGUST.

Otóż i ona.

SYLWJA.

Jacyś ludzie... A! *(spostrzegłszy Augusta)*.

HR. AUGUST.

Męża pani niema.

SYLWJA.

Nie żegnał się ze mną: zapewne niebawem wróci. Pan z interesem do mego męża? Proszę niech pan siada. Henryk lada chwila wróci (*na stronie*) ci ludzie mię niepokoją.

HR. AUGUST.

Henryk nie wróci więcej, przyszedłem też nie do niego, lecz do ciebie pani.

SYLWJA,

Nie rozumiem pana...

HR. AUGUST.

Pani, miłość moja dla ciebie wzrosła, bez słońca przychylności, bez promyka nadziei, jak skromny kwiat, ukryty śród gęszczy, potrafiła jednakże spotężnieć i rozkwitnąć.

SYLWJA.

Jeszcze mniej pana rozumiem, zdaje mi się jednakże, że znowu oświadczyny, jesteś pan wytrwały.

HR. AUGUST.

Nie obawiałem się aby zwiędła wskutek żaru suchego twego oka, jak kwiat kwitnęła ona dla siebie, nie wiedząc dla czego kwitnie, ale wolałem o ilem mógł, aby pozostała ukrytą. Nie pytaj się co mówiło na to moje serce, nie dziw się, że mię sen odstąpił, sen i apetyt, cierpiałem, bardzo cierpiałem, alem ci się nie naprzykrzał,

wiedziałem, żeś była szczęśliwą i to było moją pociechą, straszną pociechą. Dziś, gdy wiem, że ideał twój musiał runąć z piedestału wielkości, na który go postawiła ślepa twoja miłość, przyszedłem złożyć u stóp twych, o pani, miłość moją, przyjaźń, pamięć, a przekonasz się, żem godniejszy twej wzajemności, niż mąż twój.

SYLWJA.

Ani słowa więcej.

HR. AUGUST.

Czyż nie wiesz pani, że mąż twój utracił cały swój majątek, że i ciebie zrujnował, fałszował weksle i jest bankrutem.

SYLWJA.

Zapominasz pan, że nie jestem jego metresą, lecz żoną. Podzielając z nim chwile szczęścia, będę dumną cierpieć z nim razem. Mówisz, że jest fałszerzem, bankrutem, ale ja go kocham. I wsparta na ramieniu zbrodniarza, przejdę świat cały, dumna z tego, że mi pluć w oczy będą, lecz mów pan gdzież on jest.

HR. AUGUST.

Czyż mu i to przebaczysz, że utracił cały majątek dla kochanki, że w chwili najstraszniejszej kryzys, pozostawiając cię samą jedną na świecie, uratował się ucieczką do swej kochanki Julii.

SYLWJA.

Kłamiesz, bezczelny, kłamiesz, kłamiesz *(wybiega szukać Henryka.)*

SCENA X.

Hr. August (*sam*).

HR. AUGUST.

Spojrzenie, każdy giest, głos tej kobiety dziwnie na mnie działają, tracę przytomność, rozum. Ona musi

być moją. Tak nie kochałem jeszcze żadnej. Żadnej? Ha, ha. Czuję, że ogień we mnie jeszcze nie wygasł. To jest rasa. Spójrzcie na konia wyścigowego. Łeb spuszczony i gnaty mu sterczą. Lecz sygnał już dany, dzwonek się odzywa, przeszkody założone. Ożył, walczy i zwycięża. Czy ta walka zgadza się z honorem? Bezwątpienia. Słyszę już docinki zazdrości mężczyzn, dwuznaczne uśmiechy, szmer podziwu kobiet, szepty.... a zbiór moich różowych corporum delicti zwiększony. Chlubny zbiór ten na szkarłatnej, aksamitnej poduszce, do grobu zaniesion mi być musi. Żona przyjaciela? Korzystać z jego nieszczęścia? Lecz Henryk nie jest moim przyjacielem. Zresztą, gdyby to była jego kochanka, była piękną jak anioł, klnę się na honor, że byłaby dla mnie świętą, lecz żona? Czemuż jej nie strzeże? A ja ją tak kocham, za pierwszy pocałunek pół życia bym oddał; lecz czemuż te drugie są o tyle mniej warte? ha, może, aby potem z nowej seryi pierwsze słodszemi się wydały.

SCENA XI.

Kr. August, Sylwja.

SYLWJA.

Nie ma go! Jacyś nieznajomi ludzie o strasznych twarzach pieczętują mi moje meble, otwierają komody. Oddałam im klucze, srebro, bieliznę. Niech biorą wszystko. Boże, wskaż mi, co mam czynić, a przedewszystkiem daj mi siły, siły. List! *(znajduje kartki rzucone przez Henryka, czyta jedną, następnie drugą)* Dłużej w takiej męczarni żyć bym nie mógł *(czyta świstek drugi)*. „zmuszony jestem cię opuścić.” Miałeś pan racyę. Lecz czemuż listów nie dokończył? Każde słowo to kropla trucizny, większa ich ilość mogła by mię zabić, a te sprawiają mi tylko straszne męki. Na cóż się jeszcze pastwić nademną? Czyż za to, żem go tak kochała?, *(pada na fotel zakrywając sobie twarz.)*

SCENA XII.

Wchodzi lokaj i stary kamerdyner.

LOKAJ.

Czy to prawda, że moja pensya nie będzie mi zwróconą? Myślałem, żem służył u porządnych państwa, znosiłem też wszystkie grymasy, lecz pieniądze mi oddajcie.

SYLWJA.

Boże! słyszeć takie obelgi!...

HR. AUGUST.

Ruszaj łotrze, bo ze mną będziesz miał do czynienia.

LOKAJ.

Ledwie mąż drapnął, pocieszyciel się wnet wynalazł. (*wychodzi*).

KAMERDYNER *podchodząc.*

Proszę jaśnie pani ze mną gorsza sprawa. Pan hrabia w przeszłym tygodniu wziął odemnie cały mój majątek, przez 40 lat krwawo zapracowane 1200 rs. Chciałem na stare lata powrócić do mej wioski, kupić chałupę z ogródkiem, wziąć wnuków do siebie.... Wszystko stracone!

SYLWJA.

Ah! Boże, Boże!

HR. AUGUST *wyjmując pugilares.*

Byłem winien twojej pani 1200 rs., masz, ona to ci oddaje.

SYLWJA.

Starcze, nie przyjmuj tych pieniędzy.... lub weź je, odejdź i bądź szczęśliwy.

KAMERDYNER.

Niech Bóg wielmożnych państwa błogosławi. (*całuje ich po rękach i odchodzi.*)

SYLWJA.

Pojechał do Julii; w tej chwili może spoczywa w jej objęciach; mię zostawił samą. Toś pan mi pierwszy na to wszystko oczy otworzył, zresztą mam dowody, listy, a jednak nie wierzę, nie, nie, nie! To z miłości ku mnie opowiedziałeś mi tę ohydną prawdę? nie pojmujesz, żeś mi rozkrwawił serce, że moje nerwy, jak rozstrojone struny, wydają jakieś straszne dźwięki, niby marsz pogrzebowy; to znowu rażąc mię swoim przeraźliwym fałszem, dopominają się o zemstę. Prawda, że ty kochasz nie moją duszę, nie mnie, lecz moje ciało, moją młodość i piękność. Ależ nie widzisz, że z cierpienia oczy mi na wierzch wychodzą, usta blednieją, resztki włosów, których nie wyrwę, zesiwieją, a kwitnące moje lica zżółkną i zwiedną, gdy gady rozpaczy i węże zazdrości nie przestaną toczyć wnętrza mego serca. Ale ty kłamiesz, on nie mógł przestać mię kochać. Świadkami naszej miłości były rajskie gaje cyprysów, śpiew i uśmiech lazuru Włoskiego. Więc to wszystko kłamało, zdradzało mię i kłamało. Oh! ten fałsz wiecznie niebieskiego nieba! Nasze Polskie niebo, pełne chmur i obłoków, zsyłając grzmoty i pioruny zniweczyłoby podłość tego nikczemnika. Lecz nie! Wszak i tu słońce jednakowo świętym, jak i złodziejom przyświeca, a gromy i błyskawice przychodzą w porę tylko na scenie w formie ogni bengalskich i fajerwerków.

HR. AUGUST.

Gdybym wiedział, że złocisty potok mowy twojej, jak lawa buchającego wulkanu zdruzgocze mię, jeszcze z rozkoszą i uwielbieniem dla wspaniałej twej siły, piękności, rzuciłbym się do stóp twoich, oczekując śmierci. Zapomnij o przeszłości Sylwjo, porzucona, i ty porzuć

dom ten, a z nim troski i cierpienia, jedź ze mną Sylwjo.

SYLWJA.

Gdy przebiegnę myślą całe życie moje, spostrzegam, żem od kolebki szczęścia nie zaznała. Dzieckiem, sierota, bez matki, w latach młodzieńczych wśród ludzi, których zrozumieć nie chciałam i którzy zrozumieć mię nie mogli. Nareszcie, kiedy mi na chwilę otworzono wrota do świata wymarzonego, kiedym upojona szczęściem na chwilę odetchnęła, obrazy te jak w czarodziejskiej latarni znikły, wrota się zaparły, a ja zostałam w brudnej sieni. Ależ te krótkie chwile szczęścia, które w życiu doznajemy, dane nam są tylko dla tego, aby głębiej odczuć troski i zgryzoty. Na cóż Pan Bog dał mi to szczęście, kiedy chciał je wkrótce napowrót odebrać? Przedtem byłam już przyzwyczajoną do szarej mgły, która okrywała moje życie i stałam się apatyczną, zimną, spokojną; a teraz?

HR. AUGUST.

Nie wiń losów Sylwjo, może właśnie tylko w mojej miłości zgotować ci one mają szczęście. Pan Bóg....

SYLWJA.

Ale my obrażamy Boga, przypuszczając, że to On jest twórcą naszych ciągłych męczarni; życie to dzieło bezlitośnych i mściwych szatanów. Pan Bóg daje nam śmierć, wieczny spokój, a po nich może i coś więcej. I ciebie szatani mi dziś nadesłali. Mędrszy od czarnych charakterów melodramatu, nie działałeś podstępami i intrygami; wyczekując stosownej i sprzyjającej chwili, pozostawiłeś wszystko czasowi, o którym głupcy mówią, że leczy wszelkie rany. Ten dobry czas! Ależ on goi chwilowo rany po to, aby się mógł roskoszować ich nowem otwieraniem się, napawać się nowem ropieniem i lubować trującem ich gniciem. Odebrawszy mi mój majątek, nasyciwszy się moimi wdzię-

kami, porzuca mię, jak niepotrzebną już łupinę orzecha, pozostawia mię samą jedną, naznaczając opiekunem.,.. ciebie!

HR. AUGUST.

On nie wart twojej miłości, zobaczysz, ze mną będziesz szczęśliwą.

SYLWJA.

A więc dobrze. Jestem słabą kobietą; ja niemam siły stąpać sama po nieznanym mi świecie. Wiem, że mijając ścieżki prawe, wprowadzasz mię pan w błoto, a jednak oprę się na tobie. W tej chwili jedziemy za nimi, jeżeli rzeczywiście przekonasz mię, że mię mąż mój zdradza, to... zobaczymy!

HR. AUGUST.

Dowiesz się wtedy, co daje więcej szczęścia, być kochaną, czy kochać, być uwielbianą, czy uwielbiać..,

SYLWJA.

Nie mów mi o uwielbianiu i swojej miłości, bo w nią nie wierzę i o nią nie dbam. Robić coś muszę! Chcę, aby moje czyny zagłuszyły mi serce, które bije jak młotem, chcę, aby jakakolwiek działalność oślepiła myśli, wirujące, jak rozhukane morze. Nie jestem bohaterką idealnego romansu, lecz zwykłą śmiertelniczką z krwi i kości, córką mego ojca, który nie inaczej by postąpił na mojem miejscu, przyjaciółką i uczennicą Julii i prezesowej, żoną zdrajcy, bankruta i fałszerza. Dlaczegóż ja miałabym wstępować do klasztoru, modlić się za niego, cierpieć, dla czego? dla czego?

HR. AUGUST.

Będziesz moją panią, królową, a ja na klęczkach sługą spełniającym twe rozkazy. Ukryci wyjedziemy do Włoch.

SYLWJA.

Do Włoch? Ha! ha! Znam już Włochy. Tam kie-

dyś przed zawiścią i zazdrością ludzi, świata, ukrywałam moje szczęście: dziś nie mają już mi czego ludzie zazdrościć. Lecz i dziś nie ścierpię politowania i litości. Choć w duszy mej rozpostartą będzie wieczna noc, ciemna jak piekło, — na szyi mej lśnić będą brylanty, wszak mi je kupisz, róż pokryje mi żłoby, wykute memi łzami, a twarz ubiorę w wieczny uśmiech. A najzacniejsza z kobiet, która dla świata, niby z pogardy nie poda mi ręki, w głębi serca mi może pozazdrości. Nie do Włoch jedziemy, lecz do Paryża, do Mabilu!

Akt trzeci.

Rzecz dzieje się w Lubnie, sala restauracyjna.

SCENA I.

Prezesowa, Józia, Alfred, Julja, Henryk, Baron.

PREZESOWA.

Majonez jakiś niewyraźny.

ALFRED.

Może octu lub oliwy?

PREZESOWA.

Ocet możesz mi pan podać, a oliwę dolej sobie do głowy.

ALFRED.

Pociski twoje mnie nie zrażają, jestem na nie cały jakby w stal zakuty.

PREZESOWA.

W ogóle jesteś trochę zakutym.

JULJA (*do Henryka, ukazując na barona i Józię*).

Jak ci się podoba ten rzymski patrycyusz i ta złamana dziewczyna, no, ten nie wahałby się, czy ma wybrać wazon, czy kobietę, choćby antykami były i wazon i kobieta.

JÓZIA (*do barona*).

Czemu mi pan tak rękę ściska?

BARON.

W tym jednym uścisku świat widzę.

JÓZIA.

W takim razie weź pan i drugą rękę, może dwa światy zobaczysz, to będzie ciekawsze.

BARON.

A pani czy nic nie czujesz?

JÓZIA.

Przeciwnie, jakby mię ktoś zimnemi kleszczami ściskał.

BARON.

To pani mnie nie rozumie i ty wydajesz mi się zimną, zimną nie jak sam mróz, który wszystko zamraża, lecz jak woda w lód przemieniona. Ale wodę skrystalizowały wiatry, zimna, mrozy. Tyś zimniejszą od niej, boś zmarzłą, pomimo żaru, tchnącego z otaczających cię.

JÓZIA.

Jak mamę kocham, nie rozumiem pana, ale zdaje mi się, że i pan mnie wcale nie zna. Prócz ludzi, których nie miałam jeszcze sposobności poznać, ja kocham wszystko. Gdyby pan widział mój pokoik. Ile tam kwiatów! Palmy, rododendrony—to dla mnie za drogie. Ale za to w oknie kwitnie rezeda, choć brzydka, ale jak pachnie. Tuż obok czerwone lewkonje, to grymaśnice, jak ich jeden dzień wodą nie uraczyć, zaraz się obrażają i główki na dół spuszczają. W tym raiku w złocistej klatce, spadek po maminej papudze, raczy bawić książe pan kanarek, arystokrata, który cały dzień trele wyśpiewuje, siemię chrupie tylko tak dla ceremonii, jego przysmaczki — świeża sałata, jabłuszko, a co dzień rano budzi mię, staje mi na ramieniu i dzióbkiem upomina się o cukier; a kotka mam ot takiego, Miluś zaczyna być o niego zazdrosnym.

PREZESOWA.

Moja droga mogłabyś więcej zajmujący przedmiot do rozmowy wynaleźć.

JÓZIA.

Mama nie lubi Milusia, bo czarny i kulawy jak ja. Jacyś chłopcy z 1-go piętra na bruk go wyrzucili. Złamał sobie biedak nóżkę. Ja go wyleczyłam i dla siebie zatrzymałam. Jak on mię lubi, taki śmieszny, wywija wciąż ogonkiem i skacze po wszystkich kątach. Ja go też bardzo kocham, to jest mój największy przyjaciel, no, on i mój złoty książę. Chociaż moja kizia, także milutka kochana. A kiedy czasem chwile smutku nastają i w zadumie siądę, i łzy spływają mi z oczu, to zdaje mi się, że i kwiatki moje smucą się, kanarek zamilkł i Miluś skomli żałośnie, wtedy podlewam doniczki, karmię kanarka, uśmiecham się, aby uszczęśliwić mały mój światek.

PREZESOWA (*do Józi*).

Nie mogę już słuchać tych bzdurstw, ten biedny baron przecież zaśnie w twojem miłem towarzystwie, jaka ona jeszcze głupia (*do Alfreda*). Czegóż się pan trzymasz mojej spódnicy, ci mężczyźni są nienasyceni, nie mogę się odwrócić, aby na każdym kroku ciebie nie spotkać; spełniłam twoje życzenia.

ALFRED.

Ja cię kocham.

PREZESOWA.

No, kocham, kocham, bardzo dobrze, ale daj mi zjeść kolacyę. Ale, ale, moi państwo, czy nie wiecie, kto jest ten młody, przystojny huzar, którego codziennie w parku spotykam, blondyn, wysoki, taki barczysty. Czyste nieszczęście, jak się jest nie starą, i nie bardzo brzydką, to już literalnie przejść nie można. Ten huzar krok w krok za mną chodzi i oka ze mnie nie spuszcza, a ja przypusz-

czając, że kokardy mam w tyle pogniecione, lub skrzywione, także się oglądam.

ALFRED.

W takim razie się nie dziwię, że za panią chodzi.

PREZESOWA.

Czy ja się pana o zdanie pytałam? Niczyjej opieki nie potrzebuję, jestem już pełnoletnią.

ALFRED.

Nie wątpię, ale...

PREZESOWA.

Głupi pan jesteś.

JÓZIA.

Mamo, mamo! jakoś duszno; będzie burza.

(*Cisza.*)

PREZESOWA (*do Julii*).

Zbliżcie się trochę, te ciągłe wasze tête à tête zaczyna mi już na nerwy działać. Wiecie, że wszyscy was biorą za młode małżeństwo podczas miodowych miesięcy.

HENRYK.

Cóż za głupstwa!

JULJA.

Czyżem na to za mało piękna?

ALFRED.

Za piękna jak na żonę na codzień.

BARON.

Ona też jest tylko żoną od święta.

PREZESOWA.

Jakie tu dziś nudy. Henryk nam swoją obecnością humor zepsuł. Niektóre kobiety lubią mężczyzn żonatych,

nie pojmuję tego gustu, takie to nudne, takie kwaśne, fi, już wolę starych kawalerów. *(cisza).*

JULJA.

Chociaż mi dłużnicy nie pobankrutowali, chociaż nie jestem robotnikiem, którego fabrykant z powodu braku zajęcia wyrzucił i chociaż nie jestem zrabowaną ani zranioną, tak czuję się owioniętą smutnym wiatrem strasznych teraźniejszych czasów, iż tracę humor, sen i apetyt.

ALFRED.

Słowo daję, że ja już nie wiem co czynić, grosza już nigdzie wyciągnąć nie mogę. Trzeba będzie się wziąść do pracy.

BARON.

Ha! ha! Ty do pracy! Chyba zostaniesz konduktorem tramwajowym.

ALFRED.

Nie, to za ciężkie. Lecz gdy stracę majątek, wyjadę na prowincyę i będę dawał lekcye tańca.

PREZESOWA.

Bardzo stosowne, kiedy się ma nogi cienkie jak wykałaczki do zębów. I ja się nie poznaję: nic mię nie bawi, a co najgłówniejsza, prawie nic nie jem; to prasa temu winna; ciągle z jeremiadami, z pretensyami, jakby to nasza wina była, że tam gdzieś w nocy konie uprowadzono, lub lichtarze z kościoła wykradli. I tak życie funta kłaków nie warte, jeszcze z tem zawracaniem kontramarki! Gdyby to było w mojej mocy, zamknęłabym wszystkie pisma, prócz humorystycznych.

HENRYK.

Nędzna to sztuka całe życie ludzkie, w której akto-

rzy znudzeni zbytnią długością jej aktów, wychodzą w końcu ze swych ról, zmuszają się, szarżują, aby tylko do końca dobiedować.

JULJA.

Że nudna, przyznaję, ale że aktorzy nie traktują w niej swych ról con amore, na to się nie zgadzam. Czyż poznacie choć jednego człowieka inaczej, jak w roli, którą w życiu odgrywa, czyż jednem słowem, jednym ruchem zdradził się kiedykolwiek? tém większa zasługa, że rola niewdzięczna, a sztuka nudna i długa. Ten udaje dowcipnego i wesołego, maskę swego humoru nadziewa, gdy jego audytoryum składa się choćby z jednego słuchacza z galeryi i paradyzu, więc nie dla korzyści, lecz dla sztuki. Ów jest uczonym, o swym rozumie przekonał świat cały, prócz siebie. Ta ukrywa swoje lata, choć to trochę trudniej, ale my i to potrafimy. Tą grą naszą tak się przejmujemy, że kłamiemy przed samemi sobą, zapominając, gdzie się kończy nasza rola, a zaczyna rzeczywistość.

PREZESOWA.

Na to się nie zgadzam, ja się z niczem przed nikim nie kryję, zawsze mówię prawdę; mąż nie wchodzi w rachubę, chociaż i jemu nawet wolę nic nie mówić, niż kłamać.

JULJA.

Rzeczywiście, pani jesteś odkrytą dla wszystkich.

BARON.

A to ci docięła!

PREZESOWA.

Proszę sobie na kim innym ząbki ostrzyć.

JULJA.

Mówię zupełnie na seryo. Uważam panią naprawdę za szczerą, otwartą, (*na stronie*) bo głupią.

BARON.

Jak nowonarodzone dziecię.

JULJA.

Gdyby zaś mnie przyszło się rozbierać...

ALFRED I BARON (*razem*).

Byłoby pani bardzo do twarzy.

JULJA.

Ah wy alfy i omegi filarów dzisiejszego społeczeństwa! gdybym zdjęła wszystkie maski, w które się zakapturzyłam ...

PREZESOWA (*n. s.*)

Myśli o blanszu i różu.

JULJA.

Wszystkie fałsze i hipokryzyje w które się uzbroiłam, gdybym odjęła kokieteryę, która zajmowała wszystkich, prócz mnie samej, wykrzywienia ust moich, które świat za uśmiech uważał — samabym się w tym negliżu nie poznała. Zaczyna już nas nużyć ta nudna szopka życia, bądźmy sobą, zacznijmy mówić prawdę dla odmiany, to może być bardzo zabawne.

BARON.

Nie wiem czy światu byłoby w tym nowym kostjumie do twarzy.

JULJA.

Byłby barwnym, trochę krzyczącym, lecz nie konwenansowo szarym. Nieraz ambicya wyszłaby z pod ukrywającej ją spódniczki—filantropii, często miłość odsłoniłaby interesowność, lecz nie byłoby rozczarowań, zawodów.

PREZESOWA.

Ah dość już tej filozofii. Jakie tu dziś nudy, przytem

duszno, oddychać nie można, chodźmy na balkon, pani Julja powinna wstąpić na uniwersytet.

ALFRED.

Na medycynę, ponieważ tak lubi odkrywać ludzi.

BARON.

Julja się starzeje.

PREZESOWA.

Cóżeś pan myślał, że ma lat 16. Jak Boga kocham, tylko o 2 lata jest młodszą odemnie. Idę już na balkon.

ALFRED.

Tak, idziemy na balkon.

PREZESOWA.

Powiedziałam: idę. Gdyby pan raz chciał się oduczyć od tego, że ja, to nie my. Nie depcz mi pan sukni. *(wychodzą)*.

JÓZIA (*wychodząc za niemi*).

Ciekawa jestem, czy i ta urocza rzeczka, która płynie pod tym balkonem, czyni to dla siebie, czy też nas chce swoim szmerem kokietować?

SCENA II.

Henryk, Julja.

JULJA.

Tyś smutny Heniusiu.

HENRYK.

Smutny. A! gdyby mi ktoś streścił moje postępowanie kilku ostatnich miesięcy, nie poznałbym w niem siebie. Com ja nabroił, zkąd ja się tu znajduję? Przodkowie moi w prawie pytać, com uczynił z ich nazwiskiem, nie darowanem mnie, lecz pożyczonem z obowiązkiem oddania go

czystem i nieskalanem memu synowi, a ich potomkowi, ojciec upomni się o majątek, żona o wierność małżeńską. Tak, wszyscy na mnie jednego, wszyscy przeciwko mnie, a ja nie mam siły się bronić, to okropne! Tak, nie mam siły. W szerokiej męzkiej mej piersi słyszę zdrowy oddech, muskularne moje ręce zgniotłyby żelazo, a w duszy nędznym i słabym, jak suchotnica, wypluwająca w ostatnich dniach życia resztki swoich płuc. Przeszedłszy kolejno od matek, bon i guwernerów, rzucony zostałem w wir salonów; odtąd posadzka była jedyną drogą życia, po której stąpałem, namiętne spojrzenia na piękne kobiety były jedynem otwarciem się moich oczu, zręczne odsuwanie aksamitnych foteli, jedyną walką przeciw stającym mi na drodze przeszkodom, śmiałe dyrygowanie kotylionem, jedynem głośniejszem słowem, wychodzącem z mojej piersi. Tam królowałem, kobiety szalały za moją siłą i dowcipem, mężczyźni zachwycali się moją zręcznością i rozsądkiem. To... pochlebiało, gdyż powracając do domu, czułem, że mię nie poznali, żem się nie zdradził. Ja znałem siebie, wiedziałem, że tu (*pokazuje na piersi*) nic niema. Zazdrościłem najnędzniejszemu z moich oficyalistów, których ośmieszam za ich niezręczny ukłon, a którzy zawdzięczają szczęście ukochanej rodziny, byt swój, stanowisko, 10-ciu swoim palcom. Wiedziałem, że wyrwany z poza salonu w bój z tymi ludźmi, zostałbym zgruchotany, jako głupi dzieciak. Oddawna widziałem zbliżające się widmo mojej ruiny, dla mnie stokroć straszniejsze, niż dla innych. Cóżem uczynił? nic. Mówiłem sobie: mam rozum, którym potrafię krytykować innych, którym potrafię odróżnić dobre od złego, którym poznałem samego siebie, dalej więc jeden krok naprzód, do walki. Nie mogłem, bałem się życia, obawiałem się przeszkód. Ten niby mój rozsądek, natura jakby z ironii dodała mi do fizycznej siły, abym głębiej odczuł moralną moją nędzę. Ah jakie to straszne! czuć siły swoje jakby związane pętami głupich przekonań, fałszywej ambicyi, błędnego wychowania. Czyż straciwszy nawet cały majątek mojej żony, powinienem był ją w najstraszniejszej chwili zostawić samą na pastwę lichwiarzy,

i sądu, najszlachetniejszą z kobiet, ubóstwiającą mnie, ukochaną? tak, bo ja ją kocham. Biedna, i ona poznała mnie w salonie i nie odgadła mię, i przed nią kłamałem. Czyż ja, słaby nędzarz, miałem był prawo ofiarować swoje ramię kobiecie, której mniej niż inni powinienem się dziwić, jeżeli nie potrafi do końca przejść wędrówki życia bez zboczeń? Charakter Sylwii,—to kopalnia złota, oczekująca godnego jej zbieracza. Ja jej się boję.

JULJA.

Wierzaj mi, poznałam cię, tak jak cię nikt dotychczas nie odgadł, tem niemniej kocham cię.

HENRYK.

Ty kochasz mię jak samica, lecz Sylwja jest szlachetną, ona mną pogardzi, boję się jej zemsty, jak rewolweru, który jedynie mógłby mię ocalić od hańby. Cóż mi bowiem pozostaje? (*spostrzega wino*). A, tu znajdę sen, śmierć bez cierpień, konania, spokój, zapomnienie. Hej wina! (*szukając pugilaresu*). Juljo, pożycz mi pieniędzy, nie mam wiele przy sobie.

JULJA.

Masz, oddasz mi je, jak będziesz w lepszych warunkach.

HENRYK.

Ha, darowizna (*zdejmując pierścionek*). Masz ten pierścionek, więcej wart, niż pieniądze, któreś mi dała. Nie chcę zaciągać długów wdzięczności. Hej państwo, chodźcie, będzie szampan i tańce.

SCENA III.

Prezesowa, Józia, Alfred, Henryk, Julja.

PREZESOWA.

Co słyszę, wino, tańce. Nareszcie poznaję dawnego pana Henryka. Już mi też szczęki od ziewania na

tym balkonie spuchły. Nudziłam się, jak pies w szufladzie. Żaby skrzeczą, psiska wyją, baron z Józią liczą gwiazdy na niebie, a Alfred robi się romansowy, jak kot w marcu. Tobie oddajemy ster prowadzenia kontredansa. Józiu, zagraj coś z pięknej Heleny.

JÓZIA.

Nie umiem mamo.

PREZESOWA.

Do niczego ta dziewczyna, postaraj się przypomnieć sobie.

JÓZIA (*do Henryka*).

Panie, oddawna dławią mnie uwagi, które ośmielę ci się uczynić. Nie powinieneś się tu pan znajdować sam, bez żony.

HENRYK.

Wiem o tem.

JÓZIA.

Nie powinieneś się pan tu znajdować. Znam Sylwję, ja się czegoś okropnie boję. Wiedząc, że masz tu przybyć, chciałam pisać do pana.

HENRYK.

Dlaczegóż tego nie uczyniłaś pani?

JÓZIA.

Bałam się, aby, jak się to nazywa, w ortografii bąka nie palnąć.

PREZESOWA.

Cóż tam za szepty znowu, mamy się bawić, to zaczynajmy. Pani Juljo!

JULJA.

I owszem, tylko panowie mogliby rękawiczki powkładać. Wy wiecie, że ja lubię wszystko, ale przyzwoicie.

HENRYK.

Garson, wino i cruszony, panno Józiu zaczynamy od 6-ej figury. En avant! (*tańczą*).

PREZESOWA.

Ah, ucałowałabym go! (*do Alfreda*): Jutro o 10-ej wiesz, oczekuję pana w lasku przy źródle, ale pamiętaj! to już po raz ostatni.

ALFRED.

Droga Polciu!

PREZESOWA.

Nie cierpię, kiedy kto mię nazywa drogą Polcią.

Julja pokasłując w tańcu, omdlewa i pada na fotel.

PREZESOWA.

Teraz powinna pani zaśpiewać jeszcze aryę z Trawiaty.

JULJA.

Byłaby bardzo stosowną; patrz pani (*pokazuje chusteczkę krwią zawalaną*), to nie z dziąsła, choć dawniej tak myślałam. Wybaczcie mi, żem mimowoli przerwała taniec, ale możemy już zacząć.

ALFRED.

Ależ spocznij pani chwilkę.

JULJA.

Litujesz się pan nademną, dziękuję. Nie wzięłam dziś morfiny, dlatego jestem tak apatyczną.

ALFRED.

Pani zażywasz tę truciznę, nacóż?

JULJA.

W nocy z przyczyny silnego kaszlu spaćbym bez morfiny nie mogła, we dnie więc nie mogłabym się z wa-

mi bawić. A trzeba! Zresztą morfina to nie trucizna, lecz boski napój, lepszy od szampana. Nadaje mi na twarzy wypieki podobne do rumieńców 16-letniej wiochny, a oczy po niej rozmarzone jak u Małgorzaty.

JÓZIA (*czytając gazetę*).

Wiecie państwo, pani Bujnicka umarła.

PREZESOWA.

Stare dzieje opowiadasz moja droga.

JULJA.

Bujnicki w sam dzień jej śmierci, nie ucałowawszy nawet pozostałych sierot, nie czekając na pogrzeb żony, wyjechał z Michaliną.

BARON.

Kiedy przed kilkoma laty przeniósł się ze wsi do miasta, ze sprzedaży swego majątku miał nie więcej nad 50,000 rs. Co to znaczy dla Michaliny? Po dwóch latach puści z wiatrem te pieniądze i naturalnie głupiego niedołęgę.

JÓZIA.

Biedna pani Bujnicka.

JULJA.

Biedna? Zmarła jak święta, otoczona szanującą ją rodziną, kochającemi dziećmi, z przeświadczeniem, że na łożu boleści, niesłusznie krzywdzona, umiera niewinną i spełniającą swe obowiązki; a my jak umrzemy?

PREZESOWA.

Pani Julja dziś zanadto dużo morfiny użyła. Chodźmy lepiej tańczyć.

HENRYK (*obudza się z długiego zamyślenia*).

Tak, chodźmy tańczyć (*chwilkę tańczą*).

SCENA IV.

Ciż sami i garson (*wnosząc wina*).

GARSON.

Jakiś pan i pani, którzy tuż obok zamieszkali, słysząc jak tu wesoło się bawią, pytają, czyby państwo nie życzyli ich do swego towarzystwa przyjąć. To bardzo szykowne państwo.

BARON.

Cóż, zgadzacie się panie.

JULJA.

Z kąpielową etykietą to się może zgadza.

PREZESOWA.

Jeżeli to jest kobieta z towarzystwa...

BARON.

Proś tych państwa.

SCENA V.

Ciź sami, Sylwja, hr. August.

WSZYSCY.

Sylwja!

SYLWJA

Wybaczcie mi państwo, iż zapomniana i nieproszona się tu zjawiam; nie myślcie panie, iż celem moim, aby wymówkami lub wyrzutami psuć wam zabawę, przyszłam, aby się z wami bawić, wesoło bawić.

PREZESOWA.

I owszem, prosimy, z serca prosimy.

SYLWJA.

Widzę, że ci panowie, kiedy chcą, potrafią być uprzejmi i bawić damy.

JULJA.

Nie zawsze im się to udaje, mnie naprzykład dobre ich chęci nie wystarczyłyby, gdybym nie miała wina i tego cennego flakonu, który da mi co zechcę: zapomnienie, sen, nawet śmierć.

SYLWJA.

Cóż to za czarowny nektar?

JULJA.

Morfina.

SYLWJA.

Morfina! Jesteście panie więcej przewidujące i mędrsze od nas. A mąż mój zawsze w najsmutniejszych kolorach mi panie przedstawiał, nie gniewajcie się na niego, było mu to do roli potrzebne, mnie zaś ukazywał jakiś idealny świat, w który mię miał niby wprowadzić; chcąc stać się godną jego i tego różowego świata, stroniłam od was, musiałam się też wam wydać djabelnie niewyraźną i nierozsądną. Widocznie lepszy świat—to blaga zmyślona dla zawrotu główki rozmarzonej dziewczynie, kiedy mój władzca, mistrz, mentor, porzucając wszystko wrócił do dawnego. Nie gniewam się, że w ucieczce zapomniał zabrać nocną koszulę, stare pantofle i żonę. Jak dobra żona przywiozłam i stare graty i siebie. Ha, ha, dobra żona, nie zadobra, nie obawiajcie się. Każda z was bawi tu ze swym kochankiem. Nie chcąc was zawstydzać, nie chcąc być ani lepszą ani wyższą od was, i ja także przyjechałam tu z moim kochankiem.

HENRYK.

Przestań Sylwjo, mowa twoja mię rani, słowa twe — to kara za moją słabość.

SYLWJA.

I moje oczy nie chciały uwierzyć twojej zdradzie, gdy przez całe dni straszne spotykały cię z tą kobietą, uwierzyły tylko wtedy, gdy na pomoc im przyszła du-

sza moja, rozum i wszystkie zmysły. Odtąd mogły już być zamknięte, a ja was zawsze widziałam. Was oboje razem, widmo to jak duch Banka odbierało mi sen, apetyt, ilem ja przez te dni przecierpiała, kiedy niewidzialna, śledziłam każdy wasz krok, nie słysząc słów, widziałam wasze codzienne schadzki, czułam wasze uściski; na szczęście, na pocieszenie mię zostawiłeś mi jedynego opiekuna—Augusta, poczciwy! potrafiłam mu się odwdzięczyć. Widzę, żeście już pierścionki pozamieniali. My się takiemi okowami nie skuwamy, za często przyszłoby je zmieniać.

HENRYK.

Nie wierzę ci Sylwjo, nie wierzę.

SYLWJA.

Wierzaj mi, jak ja tobie wierzyłam, kiedyś na grobie mojej matki przysięgał mi wieczną miłość. Kłamałeś, bo twoja miłość to jedyna chęć posiadania moich wdzięków, a może i posagu. Kłamały ptaki, słońce i kwiaty, które się do mnie uśmiechały, bo miejsce w którem błagałam o błogosławieństwo cienie mojej matki, to grób jakiejś nędznej baletnicy pierwszej żony mego ojca, która za me prośby potrafiła mi wymodlić pięknego kochanka.

HENRYK.

Nie wierzę ci, nie wierzę.

SYLWJA.

Wierzaj mi, jak ja tobie wierzyłam kiedy w oczach moich, zbrzydziwszy mi ojca i całą moją przeszłość, którą bez ciebie przeżyłam, opowiadałeś mi o swojej szlachetności, wielkości, tak pięknie i wspaniale, że ja, niewinna dziewica wydawałam się jeszcze ich niegodną. Dlaczegóś mi kłamał, dlaczegóż na ramieniu twem wprowadziłeś mię wyżej, niż starczyły ci siły? czy abym z wyżyn tych zepchnięta przez ciebie runęła w przepaść? Jeżeli cię roznamiętniły moje wdzięki, czyż nie dość było

oświadczyć się o moją rękę memu ojcu, byłbyś przyjętym i byłabym twoją, posiadałbyś mię. Lecz dlaczegoś ufundował grunt, po którym miałam przejść całą wędrówkę życia, jedynie z twego przywiązania miłości, dlaczegoś wkopał weń największe skarby serca mego i duszy, jeżeliś wiedział, że grunt ten niepewny i że ja utraciwszy go z pod nóg moich, nie potrafię bujać nad ziemią w obłokach.

HENRYK.

Mam się przed tobą usprawiedliwiać, przed tobą, która jeżeli o wszystkiem, to nie powinnaś była przynajmniej zapomnieć o nazwisku, które tobie dałem.

SYLWJA.

Nazwisko fałszerza i bankruta, kosztowało ono mię dosyć. Za to nazwisko otrzymałeś mój majątek i przepędziłeś miesiące z młodą i uwielbiającą cię kobietą. Gdyby nie ta zapłata, byłbyś już zupełnie u mnie na utrzymaniu.

HENRYK.

Brzydzisz się kłamstwami, a więc powiem prawdę: żyłem z tobą, pókim czuł do ciebie przywiązanie, sercu wszak trudno rozkazywać, porzuciłem, bom przestał cię już kochać.

SYLWJA.

Ale ja cię jeszcze kochałam, miłość moja dla ciebie była w całej pełni swego rozkwitu, zawładnęła całem mojem jestestwem. Dlaczegóż i w tem macie mieć pierwszeństwo przed nami? A więc przykażcie matkom naszym, aby w młodości wyrwały nam serce z łona, rozum z głowy, które jak wy posiadamy, duszę, jeżeli wam dla chwilowej rozrywki tylko nasze ciała są potrzebne. Niech z nas uczynią haremowe huryski, które jak zwierzęta zamknięte w klatce, będą się zadawalniały jedną rzuconą ochłapą waszych uczuć. Lub jeżeli nie są w stanie wyrwać z nas duszy, niech dadzą nam więcej światła, wpro-

wadzą w szerszy świat, lecz niech nie każą nam w posagu składać u stopni ślubnego ołtarza wszystkich naszych celów, dążeń i marzeń. Ja przeczuwałam, że szczęście takie jak moje, wiecznie trwać nie może, w duszy przygotowywałam się do cierpień, lecz dla ciebie, z tobą, miłość twoja dodawała mi sił, abym je zniosła. Widziałam cię cierpiącym i bladym, a siebie spędzającą bezsenne noce przy twem łożu boleści za jedyny uśmiech mego dobroczyńcy, za jedyny uścisk wdzięczności mego pana. Jakżeż szczęśliwą byłam, mogąc pieniędzmi spłoszyć chmury z twego czoła. Wiedziałam, że pieniądze nie trwają wiecznie, wtedy chciałam dla ciebie pracować, poświęcać się, cierpieć, boś mi był mężem naznaczonym przez Boga, mojem życiem, mojem wszystkiem. W chwili kiedyś wyrwał się z moich objęć, uczułam tu (*wskazuje na serce*) straszny ból, jakby mi ktoś z korzeniem wyrwał wszystko dobre i szlachetne z mego serca. Na pustej już niwie mojej duszy uczułam po raz pierwszy wzrastające we mnie ciernie i chwasty. Czułam zradzające się nowe u mnie uczucie—zemstę. Wyraz ten słyszałam często w ustach mego ojca. Tak, tylko ona mi pozostała. Wiedziałeś, żem ci oddała wszystko za twoją miłość, która miała mi być osłodą w cierpieniu, siłą w przeciwnościach, charakterem, szlachetnością, wszystkiem. Odebrawszy mi ją, zostawiłeś mię bezbronną, nagą. Przekonawszy się naocznie o twojej zdradzie, przed chwilą oddałam się memu kochankowi, aby mieć kochanka, jak twoje ideały.

HENRYK.

Nikczemna, jednem słowem mógłbym cię przekonać, żeś zawcześnie wszystko postawiła na jedną kartę, lecz złegoby to nie zmazało, a ja nie chcę zemsty zemstą odpłacać.

SYLWJA.

Nikczemna! Nie mniej niż ty. Oburza cię, że kobieta na którą raczyłeś kiedyś spojrzeć, należy do innego;

pomyśl o mnie: w chwilach naszych rozkoszy, kiedyś ty, jak dumny władca i pan zbierał z ust mych pocałunki, ja w nadmiarze nieznanego mi dotąd szczęścia wiłam się u nóg twoich, rosiłam łzami rozkoszy twoje ręce i wylewałam z dziewiczych mych ust potoki uwielbienia i zachwytu. Zdradzona i porzucona, ja wstydzę się przed tobą tych poniżających mię chwil szału. Oddaj mi te niebaczne słowa, któremi jak wieńcem najpiękniejszych kwiatów owijałam ciebie. Nie byłam sługą, niewolnicą, w żyłach mych płynie krew godna twojej. Choć kobieta, mam szlachetność i dumę, jak i ty, dla tego cię nienawidzę, dla tego szukałam zemsty.

BARON.

Nie mogę już słuchać głupiego gadania tej przesadzonej komedyantki (*wychodzi*).

SCENA VI.

Ciż sami prócz barona i urzędnik policyi.

URZĘDNIK (*za sceną*).

W imię prawa otwórzcie (*do Henryka*). Zechciej pan łaskawie pokazać mi swój paszport.

HENRYK.

A jeżeli nie zechcę.

URZĘDNIK.

Mundur mój powinien pana dostatecznie przekonywać, że nie kieruje mną ani rozrywka, ani prywatna ciekawość, ani chęć szykanowania pana, lecz prawo.

HENRYK (*pokazuje mu paszport*).

Służę panu.

URZĘDNIK.

Ten paszport jest fałszywy. Czy możecie państwo przysiądz, że pan ten jest Andrzejem Zbarazkim? Nie,

jest on hrabią Henrykiem Krasnohorskim bankrutem i zbiegiem.

HENRYK.

Tak, nie będąc w stanie płacić mych długów, fałszowałem weksle, o tem pan jeszcze nie wiedziałeś, chciałem ratować się ucieczką. Nie udało się; widocznie nie pod szczęśliwą gwiazdą się rodziłem.

URZĘDNIK.

Zmuszony jestem pana aresztować, jak również obecną tu jego małżonkę.

SYLWJA.

Nie znam tego pana, nie jestem jego małżonką, jestem nałożnicą, kochanką hrabiego Augusta, racz pan mu to wytłómaczyć.

HR. AUGUST.

Możesz pani być zupełnie spokojną, żona nie jest odpowiedzialną za długi męża.

SYLWJA.

I pan widocznie już mną nasycony, obawiający się zbytniej kompromitacyi, zostawiasz mię bezbronną, ale ja nie chcę Warszawy, więzienia, procesów, chcę się bawić, chcę być szczęśliwą. Przynieś mi pan z pod poduszki portmonetkę ze złotem, którąś mi ofiarował, idź, rozkazuję ci.

URZĘDNIK.

Złoto twoje wcale ci, pani, nie pomoże.

SYLWJA.

Nie chcesz za złoto sprzedać twego honoru, a więc ja za wolność mój ci oddaję. Jesteś silny i zdrowy *(zrzuca z siebie stanik)*, patrz jam młoda i piękna, będę twoją, jak długo zechcesz; sprzykrzę ci się, to jak zwiędły kwiat

rzucisz mię do rynsztoka, obawiasz się twych zwierzchników i każdemu z nich potrafię się spodobać *(zakrywa się, słychać grzmoty)*. Boże mój Boże, dziwicie się jakim sposobem te wszystkie plugastwa wychodzą z ust moich. Wiedzcie, że kiedy dziewica—dziecię w objęciach małżonka dojrzewa, stając się poważną, szlachetną kapłanką domowego ogniska, z ust kochanka do dna wychyla trującą czarę szumowin i kału, przemieniającego ją w uliczną wietrznicę, heterę. Grzmoty, błyskawice! ja boję się Ciebie, o Boże! Lecz czemuś odebrał mi matkę, czemuż choć duch jej nie błąkał się w chwilach mego niedoświadczenia i słabości, czemuż tak strasznie wiódł na pokuszenie mnie słabą, bezbronną kobietę? To chyba nie Ty, Boże miłosierny i litościwy, lecz duch jakiś, silniejszy od Ciebie, straszny, zły i mściwy. Czemuż wiedząc, iż człowiek ten serca już niema, przemieniłam się w strzałę, która miała je przebić. Jam ni ze stali, ni ze spiżu. Kamień stoi nieporuszony, a słaba, zdruzgotana strzała poniewiera się w kałuży. Czemuż za narzędzie zemsty obrałam samą siebie, za nabój mój honor i uczciwość? wypaliwszy spudłowałam, wróg żyje, a ja nabojów więcej nie mam i leżę bez duszy. Boże, Boże! jak strasznie mię karzesz! czegóż ja chciałam? trochę szczęścia. Widząc naokoło siebie góry, lasy, doliny, nad sobą błękit nieba, słońce, słysząc szmer szemrzących strumyków, szelest wiatru, śpiew ptaków, sądziłam że świat ten stworzon nietylko dla pracy i obowiązków, lecz dla marzeń, ideału, rozkoszy. Wierzcie mi, nie przeceniam swej wartości, przeciwnie ja sama pogardzam sobą. W chwili dzikiej mojej zemsty byłam do głębi zranioną, przytem samą w otoczeniu złych lub słabych. A jednak czuję, żem nie do samych nikczemności i nizkości stworzona, mogłam być szlachetną i dobrą. Teraz w imię dawnego waszego przywiązania proszę was o radę hrabio, *(do Henryka)*. Ojcze! Co ja mam czynić? radźcie!

HENRYK.

Nieszczęsna, cóż ci radzić; nie mogę ci zwrócić ho-

noru, ani odebrać mego nazwiska. Dla mnie jużeś stracona, porzuć te strony, zapomnij, żyj.

SYLWJA (*ze wstrętem*).

Żyć, żyć, żyć! Ależ to życie dał nam Pan Bóg tylko jako próbę, aby się dowiedzieć, ile nam na niem zależy. Kiedyście z korzeniem wyrwali ze mnie co dobre i szlachetne, kiedyście do głębi rozkrwawili moje serce, mamże jak żebraczka z rozdartem łonem, krwią bocząca, brudna, w łachmanach, wzbudzać w przechodniach litość? Mam żyć na jednej ziemi z tym człowiekiem? (*wskazuje na hr. Augusta*), który z uśmiechem może opowiadać o pocałunkach, jakie zbierał z mych ust, którego czuję oddech na mej twarzy i rękę moją w jego ręku? o hańbo! A ja w mych ostatnich marzeniach liczyłam, że ty mię i siebie zabijesz, niechaj to będzie moim ostatnim zawodem. Bez miłości, obowiązków, idei—życie jest niemożebnem. A! (*spostrzega flakon z morfiną*). Przebaczam wam! módlcie się za mnie (*wypija flakon do dna*).

HENRYK.

Nieszczęsna, coś uczyniła! Dla Boga! ratujcie, doktora, doktora! (*wybiega hr. August i urzędnik*).

SYLWJA.

W głowie mi się kręci, w oczach ciemno, sama jedna śród lasu, pustyni; ni cienia, ni źródła, pali tu (*wskazuje na serce*). Kroplę wody! (*podają jej wodę*). Nie mogę już przełknąć. Otwórzcie okno, oh, jak mi ciężko (*pada na fotel. Henryk klęka u jej stóp*).

HENRYK.

Najdroższa, coś uczyniła!? Na łożu twojej śmierci, która zarazem jest i moim grobem, gorszym, bom żywcem w niego rzucony, przysięgam ci, żem nikogo więcej nad ciebie nie kochał i że cię pozory omyliły.

SYLWJA.

Czemuż mi kłamiesz, Henryku, teraz już za późno; a to co mówisz, tylko większy ból sprawia.

HENRYK

Będziesz żyć Sylwjo, ze mną, zawsze, zapomnimy o wszystkiem.

SYLWJA.

Za późno *(uśmiecha się)*. Zresztą śmierć tylko daje zapomnienie. Jak to dobrze nieżyć. Teraz czuję tylko jeden ból, serce rozkrwawione i zranione, jak zepsuty zegar niepotrzebnie łupocze i bije. Nóg i rąk już nie czuję. Gdy jeszcze oczy się zamkną i myśli utracę—będę szczęśliwą. Moja matka czy mię kocha? zapomniała o mnie. Nie, widzę ją, uśmiecha się, wzywa mię do siebie, chce prowadzić tam, gdzieś, w górę. Chce wziąść za rękę. Nie mam już ręki. Białe skrzydła nie dla mnie. Tu boli, tu. Teraz mi lepiej *(wstaje)*, tak błogo, przyjemnie, jakiś inny świat się przedemną otwiera... czy lepszy? Nie poznaję siebie, nikogo, nie wiem gdzie jestem, sen mię ogarnia, jakieś marzenie... przy szmerze strumyka, śpiewie ptasząt... ciszej, ciszej.... kwiaty mię upajają, sen..... *(pada z zamkniętemi oczyma)*.

HENRYK.

Boże Wszechmogący! ludzie ratujcie! *(zrywa się)*.

SCENA VII.

Ciż, doktór, Alfred, Baron, *który rozmawia z* **hr. Augustem.**

HENRYK.

Doktorze, widzisz, to moja żona zasłabła, otruta, ratuj ją na miłość Boga.

DOKTÓR.

Powoli, powoli; pani ta zażyła kilka kropel morfiny i... *(bada puls Sylwii)*.

HENRYK.

Gorzej, gorzej, flaszkę całą.

BARON.

Naturalnie niechcący, sądziła, że to są krople laurowe.

DOKTÓR.

Rozumiem, morfina pochodzi ztąd?

BARON.

Jedna z pań z Warszawy ją przywiozła.

DOKTÓR.

Z Warszawy? a to nie jest niebezpieczne. Tamtejsze apteki delikatnie wszystko przysposabiają, bardzo delikatnie; tam też lekarstwa nie pomagają, ale nigdy nie szkodzą.

HENRYK.

Więc uleczysz ją doktorze?

DOKTÓR.

Ależ uleczę, uleczę. Patrz pan, otwiera już oczy, żyje i żyć będzie aż do samej śmierci.

BARON (*do Henryka*).

Wiesz, August na wszystko najświętsze przysięgał mi, że Sylwja jest niewinną i że jedynie w celu ukarania ciebie, wymyśliła ów z nim romans, o którym jej się nawet nie marzyło.

HENRYK.

Czy podobna, czy podobna?

SYLWJA (*oddychając*).

Już mi lżej (*przeciera oczy*). Oczy zaczynają znów widzieć, uszy słyszeć, członki powracają napowrót na służbę.

DOKTÓR.

Nie nadużywaj ich pracy, nie staraj się widzieć za dużo, słyszeć za wiele, inaczej, znów ucieknę od ciebie.

BARON (*do Sylwii*).

Z trudem udało mi się przekonać Henryka o twojej niby niewinności, tak, że głupie twoje awantury i komedye jakoś załatane; zacny August spłaca wszystkie wasze długi, porozumiał się już z komornikiem, patrz (*wskazuje na Henryka i Augusta rozmawiających z sobą*) w jakiej żyją z sobą przyjaźni. Poczciwi! Czas już i tobie pozbyć się pensyonarskich pojęć i idealnych jakichś marzeń, a życie odtąd przejdzie ci w szczęściu i spokoju.

HENRYK (*klęka u stóp Sylwii i całuje jej ręce*).

SYLWJA (*wybucha spazmatycznym śmiechem*).

DOKTÓR.

Ocalona!

SYLWJA (*z ironją*).

Ocalona! (*spazmy trwają aż do zapadnięcia kurtyny*).

JULJA.

Jeszcze dziś pakuję rzeczy i do Monaco!

JÓZIA.

A ja do klasztoru!

DOKTÓR.

Ocalona! (*żegna się i wychodzi*).

Kurtyna spada.

Koniec.